Rok II. Lwów, dnia 15 stycznia 1896. Nr. 2.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata w monarchii austro-węgierskiej wynosi rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron.

Redakcya i Aministracya: Lwów, ul. Maurycego Mochnackiego (Garncarska), 12

MISTYFIKACYA POLITYCZNA.

Przebrzmiały już u nas echa rozgłosu, nadanego staraniami usilnemi przyjaciół politycznych i polemiką przeciwników — książce p. Koźmiana (*Rzecz o 1863 roku*), gdy niespodziewanie zjawiła się zapowiedź wydania jej w języku niemieckim. Przekład dzieła trzytomowego, nie bardzo ciekawego dla publiczności obcej, ale mającego wyraźną tendencyę polityczną, nie jest z pewnością zwyczajną spekulacyą wydawniczą. Świadczy zresztą o tem reklama, zamieszczona w dzienniku *Das kleine Journal*, która ma wszystkie pozory notatki, a raczej noty, nadesłanej przez stronę interesowaną i ogłasza krótki program polityki ugodowej we wszystkich trzech zaborach, zaznacza bowiem wyraźnie, że poglądy p. Koźmiana stoją w ścisłym związku z postępowaniem p. Kościelskiego i arcybiskupa Stablewskiego w Poznaniu i z polityką hr. Szuwałowa w Warszawie.

Czas oraz niektóre inne dzienniki, podzielające poglądy p. Koźmiana, powtarzają artykuł dziennika berlińskiego i dodają z komiczną nieco powagą, że cesarz Wilhelm, który ma zresztą dosyć dziwaczne upodobania, zwykle *Das kleine Journal* czyta.

Jednocześnie *Warszawskij Dniewnik*, streszczając poglądy ks. Józefa Lubomirskiego, który w swej *Historyi zmian współczesnych w Europie*, dowodzi konieczności pogodzenia się Polaków z rządem rosyjskim i zlania się z Rosyą — zaznacza, że myśli księcia są w wielu punktach zgodne z wywodami drugiego publicysty polskiego, Koźmiana. Jako poddany austryacki nie może p. Koźmian doradzać ziomkom swoim zjednoczenia się z Rosyą, ale wykazuje, że powinni dla zachowania bytu narodowego pogodzić się z warunkami politycznymi, istniejącymi dzisiaj, gdyż „odrodzenie państwowe Polski jest najzupełniej niemożliwe“. To samo mniej więcej mówi nazwany wyżej dziennik niemiecki, stwierdzając że według p. Koźmiana. „niezależna Polska jest niepodobieństwem, ale potrzebny jest byt polonizmu“. Oba pisma wiernie, chociaż może zbyt słabo oddają myśl p. Koźmiana. który w dziele swojem gołosłownie lecz kategorycznie oświadcza, że »odbudowana Polska nie miałaby warunków bytu« (t. III str. 254).

Cała ta robota i reklama dziennikarska mają niewątpliwie cel określony, wskazują pośrednio, że zwolennicy polityki ugodowej przygotowują się znowu do jakiejś akcyi, a sądząc z innych, ubocznych wzmianek, można z wszelką pewnością przypuszczać, że na widownię tej akcyi wybrano zabór rosyjski.

Pierwsza próba wywołania efektu scenicznego i przetasowania kart politycznych wykazuje już biegłą w tego rodzaju czynnościach rękę b. dyrektora teatru krakowskiego. Mądrość polityczna i zdolności dyplomatyczne p. Koźmiana, nabyte i ćwiczone nie w służbie obywatelskiej, nie w sejmach, nie na urzędach państwowych, ale na poufnych pogawędkach w redakcyi *Czasu*, lub za kulisami teatru i w garderobach artystek, mają być gwiazdami przewodniemi, wskazującemi i oświetlającemi drogę, po której kroczyć powinna polityka polska. Wprawdzie nie słyszeliśmy, żeby gdziekolwiek i kiedykolwiek kierownik sceny zostawał kierownikiem politycznym narodu, zbylibyśmy jednak fakt ten milczeniem, gdyby nie to, że świadczy on o pewnej wulgaryzacyi stronnictwa stańczyków, o stopniowem obniżaniu się dążeń, sposobów działania i ludzi. Jućcić w sztabie stronnictwa, które obwołuje się imieniem błazna, przedsiębiorca widowisk scenicznych znaleść może miejsce odpowiednie, zawsze jednak jakiż to spadek gwałtowny od *Teki Stańczyka* poprzez *Doświadczenia i rozmyślania* do *Rzeczy o 1863 roku*; jakiż to przeskok znamienny od poważnego historyka do hrabiego dyletanta, a następnie do p. Koźmiana.

Przyznać trzeba, że stańczycy w Galicyi pierwsi zrozumieli i do niedawna oni tylko jasno zdawali sobie sprawę, że stronnictwo polityczne, które chce zdobyć wpływ i powagę w narodzie, nie może zamykać się dobrowolnie w granicach jednej dzielnicy, ale musi postawić swój program dla całej Polski. Dużo rozprawiano i pisano o łączności trzech zaborów, o uczuciach i dążeniach wspólnych, w rzeczywistości jednak łączność ta była i jest przeważnie formalną, wspólność uczuć i dążeń nie obowiązuje do ściśle określonego, programowego działania, ujawnia się w okolicznościach szczególnych, ale w warunkach zwykłych godzi się wybornie z separatyzmem prowincyonalnym, z ograniczeniem zadań politycznych do jednej kategoryi interesów, w jednej dzielnicy. Taka polityka, w ciasnym zakresie zamknięta, niekiedy może mieć niewątpliwie doniosłe dla interesów ogółu polskiego znaczenie, lecz nie może być kierowniczą, nieodpowiada coraz żywiej odczuwanej w społeczeństwie naszem potrzebie programu, obejmującego całość spraw narodowych, regulującego i sprowadzającego do normy wspólnej — z konieczności rozbieżne dążenia i odmienne sposoby działania

Otóż stańczycy dają program dla całej Polski, na pozór zupełnie prawidłowo zbudowany, bo zawierający wszystko, co w programie takim być powinno: przesłankę, streszczającą motywy, cel, krótko sformułowaną zasadę i wkazanie dróg działania, a nawet przykład który ma stwierdzać skuteczność obranej metody politycznej. Przesłanką jest „niemożliwość odbudowania Polski“ celem — „zachowanie bytu narodowego“, zasada — wierność rządom w każdej dzielnicy, czyli

trójjedyny lojalizm i zrzeczenie się wszelkich dążeń do niezależności państwowej, drogą działania — przystosowanie się do warunków politycznych, istniejących dzisiaj, wreszcie przykładem -- obecne stanowisko Polaków w Austryi, jako następstwo polityki ugodowej. Na pierwszy rzut oka program wydaje się jasnym, praktycznym, powiedziałbym nawet przekonywającym, gdyby nie pomijał zupełnie tych czynników, które na przekonywanie ludzi wpływają najwięcej. Po bliższem jednak rozejrzeniu się w nim, okazuje się, że żadna z części składowych nie wytrzymuje krytyki, że nie wiążą się one z sobą, nie wypływają logicznie jedna z drugiej, nie uwzględniają stosunków realnych. Zacznijmy od przesłanki, która wyraża pogląd dowolny, nie jest i nie może być dowodnie uzasadnioną. W sprawach politycznych, na które wywierają wpływ tysiące czynników różnorodnych, a pomiędzy nimi taki kapryśny, nie poddający się żadnym obrachowaniom, jak wola ludzka, wolno mówić tylko o większem lub miejszem prawdopodobieństwie, ale nigdy — o niemożliwości. Dziś niepodobna przewidzieć na jutro, mówiąc dosłownie, nagłej i niespodziewanej zmiany okoliczności, usposobień, nowego układu stosunków, i t. d Bieglejsi od polityków krakowskich statyści przed pięćdziesięciu laty nazywali Włochy »terminem goegraficznym«, a przed dwudziestu pięciu nie myśleli o możliwości istnienia państwowego Bułgaryi. W utworzeniu państwa bułgarskiego nikt właściwie nie miał interesu, preciwnie — był ten fakt wynikiem sprzeczności interesów mocarstw europejskich. Czy ta sprzeczność nie istnieje? Czy w Europie, a nawet w państwach bezpośrednio zainteresowanych — w Austryi i Niemczech, nie było lub czy teraz nie ma mężów stanu, którzyby w pewnych warunkach uznali w zasadzie potrzebę i pożyteczność utworzenia Polski niezależnej, ma się rozumieć, za odpowiedniem wynagrodzeniem terytoryalnem i w odpowiednio zakreślonych graniccah?

»Zachowanie bytu narodowego jest po prostu frazesem, nie mającym określonego znaczenia, bo ile głów, tyle zdań o tem, co stanowi konieczne warunki tego bytu. To, co w Galicyi wyraża dziś minimum potrzeb bytu narodowego, byłoby w dzielnicy pruskiej wspaniałą zdobyczą polityczną, a w zaborze rosyjskim upragnionym na razie ideałem. Nie można zresztą mówić o „zachowaniu" bytu narodowego tam, gdzie podstawy jego są podkopane Kto potrafi oznaczyć konieczne warunki tego bytu? Można je rozszerzać aż do granicy, za którą zaczyna się niezależność państwowa, można zredukować do tej odrobiny zaprzeczanych często i lekceważonych praw, z jakich korzysta ludność polska na Szląsku pruskim, która jednak byt swój zachowuje, a nawet powoli rozwija się politycznie. W każdej dzielnicy, w każdej części ziemi naszej inne są potrzeby bytu narodowego i nie ma kryteryum, któreby się nadawało do ustanowienia jego warunków niezbędnych.

Zasada wierności wszystkim trzem rządom, pod których władzą znajdują się ziemie polskie, jest sprzeczną z pojęciem polityki narodowej, ogólno-polskiej Książe Lubomirski, mówiący o zjednoczeniu wszystkich Polakow z Rosyą, może jeszcze pretendować do nazwy polityka polskiego, ale ani p. Koźmian, ani jego przyjaciele krakowscy nie mają do niej prawa. Byliby logicznymi, gdyby mówili o wspólności interesów Polski z interesami Austryi. U nas często, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, uważają stańczyków za stronnictwo austryackie; jeżeli nie za jawnych, to za ukrytych austrofilów. Trudno powiedzieć, jakimi są rzeczywiście, bo polityka ich, potępiająca głośno wszelkie zabiegi tajemne, jest właściwie wielką konspiracyą. Ale w pismach swoich i w działaniach jawnych polityki austryackiej nie prowadzą. Natomiast w sferach wpływowych społeczeństwa galicyjskiego, ze stańczykami wspólnością wielu interesów złączonych, są niewątpliwie ludzie, którzy utożsamiają interesy Polski z interesami Austryi i których od stańczyków odróżniać należy, chociaż obecnie zazwyczaj zgodnie z nimi działają.

Politycy, zalecający ziomkom szczery lojalizm względem wszystkich trzech rządów, biorą pod uwagę tylko stosunki normalne, nie wskazując drogi postępowania na wypadek możliwej wojny między temi państwami, a nawet na wypadek zaostrzenia niewątpliwego antagonizmu ich interesów. Być może wymyślono w Krakowie jaką doktrynę ezoteryczną, która politykom, dopuszczonym do tajemnic stronnictwa, wszelkie tego rodzaju wątpliwości wyjaśnia. Ale ogół społeczeństwa nie chce na takiem przypuszczeniu poprzestać, nie chce bez zastrzeżeń powierzyć losów swoich krakowskim statystom, milczącym w tak ważnej sprawie. I ogół ma zupełną słuszność w tym wypadku, gdyż w podobnych okolicznościach nawet konspiratorzy zawodowi nie unikają jawności. Dziwna rzecz, doprawdy, że politycy, którzy tak dokładnie obliczyli »niemożliwość« odbudowania Polski, nie wciągają do rachunków swoich prawdododobieństwa wojny.

Wszystko to, co zaznaczyliśmy wyżej, tłómaczy w znacznej mierze, dla czego rada przystosowania się do warunków politycznych, istniejących dzisiaj, nie ma żadnej wartości praktycznej, nie mówiąc o tem, że przystosowanie się może być najrozmaiciej rozumiane. Właściwie wszelkie działanie polityczne, nie wyłączając rewolucyjnego, musi zawsze stosować się do warunków istniejących, nawet wtedy, kiedy wprost dąży do ich zmiany. Mniemana wskazówka praktyczna jest tak samo dwuznacznym, nieokreślonym ogólnikiem, jak zachowanie bytu. A nadając nawet tym dwóm ogólnikom najbardziej pożądane dla ich autorów znaczenie, widzimy, że w całej dzielnicy Polski, w Królestwie, a zwłaszcza na Litwie i Rusi nie może być mowy o zachowaniu bytu narodowego w najbardziej ograniczonem pojęciu tego wyrażenia, bez radykalnej zmiany warunków. Tam gdzie są prawa, a nawet podatki wyjątkowe i zakazy specyalne nabywania ziemi, zajmowania posad, wreszcie mówienia po polsku, warunki istniejące nie tylko tamują rozwój bytu narodowego, co jest koniecznem dla zachowania jego, ale bezpośrednio podważają wszystkie bytu tego podwaliny.

Ale najlepiej charakteryzuje tę mistyfikacyę krakowską powoływanie się na stanowisko Polaków w Austryi, jako na dowód skuteczności polityki ugodowej. Niewątpliwie Polacy zajmują w Austryi stanowisko poważne i wpływowe, uznają to niemal wszyscy politycy i publicyści zagraniczni, zaznaczając zresztą, jak n. p. Charles Dilke, że nie wyzyskują oni w należytej mierze swego położenia, niezwykle korzystnego. Przypisują sobie stańczycy, a często przypisują im na wiarę inni, że to stanowisko uzyskała narodowość nasza w Galicyi i państwie dzięki ich polityce ugodowej. Jest to fałsz, świadomie wymyślony w celu nadania sobie powagi, a bezwiednie przez ogół powtarzany. Właściwie Polacy w Austryi nie prowadzili nigdy polityki ugodowej. Jedynem chyba jej objawem był podany przez sejm, obradujący w r. 1865 i 1866, adres do tronu z zapewnieniem wierności i lojalności. Stanowisko swoje od nadania kon-

stytucyi w r. 1867 zawdzięczają Polacy przedewszystkiem układowi stosunków narodowościowych i politycznych w Austryi, następnie układowi stronnictw w Radzie państwa, poniekąd względom na stosunki zewnętrzne monarchii, wreszcie, chociaż punkt ten może być w pewnej mierze spornym, zręczności i zdolnościom swoich przedstawicieli parlamentarnych, z których jednak najwybitniejsi stańczykami nie byli. Z pewnością w utrwaleniu tego stanowiska odegrała rolę niepośledni i życzliwość korony, ale prawdopodobniej i przyzwoiciej byłoby przypisać ją roztropnej przezorności politycznej, aniżeli wylewom lojalizmu panów krakowskich.

Polacy w Austryi, w warunkach istniejących mieliby zawsze wpływ i znaczenie, bez względu na to, jaką by politykę prowadzili, naturalnie, politykę, liczącą się ze stosunkami realnymi. Przywilej dostarczania ministrów i wotowania wniosków rządowych nie koniecznie określa powagę i siłę stronnictwa. Nie wdajemy się tu zresztą w roztrząsanie, czy droga, którą obrali politycy galicyjscy, była najlepszą, czy też należało wybrać inną. Przypuszczamy, że poszli najwłaściwszą i najkrótszą drogą do poważnego stanowiska w Austryi, to wszakże zdobyli je nie dla tego, że okazywali dążności ugodowe, ale dla tego, że skorzystali z układu stosunków w państwie i umieli je wyzyskać. Czy zaś wyzyskali należycie, czy stanowisko ich nie mogłoby być jeszcze silniejszem i trwalszem — to już inna sprawa.

Manifestacye ugodowe stańczyków pomogły wprawdzie dużo przedstawicielom partyi do zdobycia stanowisk dworskich i urzędowych. Może to kto nazwać zdobyczą polityczną, nie przeczymy nawet, że ma ona pewne znaczenie, a raczej miałaby, gdyby z niej umiejętnie korzystano, ale bądź co bądź rzecz to drobna w porównaniu z tem, co nam dały okoliczności pomyślne, co zyskaliśmy sami co nam przyznano, nie w nagrodę za nasze wzorowe zachowanie się, ale dla zjednania sobie siły, którą przedstawiamy. Stosunek polityczny jest dla obu stron korzystnym i pożądanym, lub za takowy w przekonaniu ich uchodzi.

Można zapewne nazwać taki stosunek ugodą, ale tylko w tem znaczeniu, że w ogóle każda działalność polityczna jest pewnego rodzaju kompromisem pomiędzy rozmaitymi czynnikami. Uznajemy ważne znaczenie, nawet konieczność kompromisu w polityce, zawartego w krótkiej formule łacińskiej *do ut des*. Ale ta polityka ugodowa, oddawna nam zalecana, a dziś znowu jako hasło narodowe w trzech zaborach otrąbiona, nie jest wcale kompronisem politycznym, mówi *do*, ale drugą część formuły pozostawia do uznania dowolnego strony przeciwnej. Jej lojalność histeryczna narzuca się ze swymi afektami, oddaje bez wahania wszystkie wdzięki swego «polonizmu«, nie otrzymawszy bodaj zaręczynowego pierścionka. Nie stara się, przeciwnie, obawia się wykazać siłę tego polonizmu, umyślnie znaczenie jego zmiejsza i obniża, chociaż zaleca rządom jego rzekomą wartość dodatnią w sprawie utrzymania istniejącego stanu rzeczy i porządku społecznego. Nie koniecznie trzeba żądać i grozić, żeby coś otrzymać, ale ten, kto nieproszony ofiaruje swoje usługi i nie może, czy nie chce dowieść ich potrzeby, dostaje w najlepszym razie drobną jałmużnę, albo napiwek honorowy. Kompromis jest zawsze wypadkową dwóch sił w różnych kierunkach działająeych, ugoda jest wzajemną wymianą usług i wartości realnych. Kto wychodzi na targ polityczny, powinien nie tylko mieć, ale i umieć pokazać siłę swą i wartość.

Polityka stańczyków, zaliczając do niej wszelkie galicyjskie, warszawskie, poznańskie i petersburskie odmiany dążeń ugodowych, zwykle przywłaszcza sobie miano realnej, chociaż bardzo mało uwzględnia warunki realne. W jej wulgarnem pojmowaniu rzeczywistości realnem jest to tylko, co ma widoczną, zmysłową formę, chociaż ta forma obejmuje zawsze czynniki nieokreślone, zmienne. Natomiast lekceważą niemal zupełnie tego rodzaju politycy takie niewątpliwe rzeczywistości, jakiemi są usposobienie i temperament, skłonności dziedziczne lub nabyte, a zwłaszcza uczucia i tradycye narodu, a raczej kilku narodów (bo powinniśmy rachować się także z przeciwnikami naszymi), nakoniec przeciwieństwa społeczne i ekonomiczne. O takie rzeczywistości rozbijały się niejednokrotnie z pozoru mądrze obmyślane plany potężnych monarchów, znakomitych mężów stanu i reformatorów.

Równie jednostronnie jak realność, pojmowana jest »trzezwość«, oznacza bowiem wyłącznie lojalizm bezwzględny. Pod taką miarę, dobrą może dla szambelanów i hofratów, nie poszedł by ani jeden wielki działacz polityczny. Oba jednak te wyrazy służą do bałamucenia opinii publicznej, która łudzi się ich brzmieniem nie badając nadanej im dowolnie treści, tymbardziej, że zwykle stoją w związku z uznaną zasadą: w polityce rządzić się trzeba rozumem nie zaś uczuciem.

Zasada bardzo słuszna, ale kierownictwo rozumu nie wyklucza bynajmniej liczenia się z usposobieniem i uczuciami narodu, owszem, nakazuje uwzględniać takowe, bo polityka jest sztuką działania, bo przedmiotem jej są czyny ludzkie, nie może więc lekceważyć ich głównych pobudek.

W tej zaś polityce, o której mówimy, chodzi nie o kierownictwo rozumu, lecz o wszechwładne jego panowanie; jest to nowy »kult rozumu», oderwanego od warunków realnych, od życia i jego potrzeb, snującego dowolne wnioski z dowolnych przesłanek. Taka polityka nie jest ani trzeźwą, ani realną — to suchy i ciasny racyonalizm doktrynerski. Zbankrutował on już oddawna w nauce, ale tuła się w polityce. Panowie krakowscy wymyślili sobie zasadę polityczną, bardzo dogodną dla ich interesów osobistych i klasowych, wymyślili sobie politykę pod tym jedynie względem istotnie bardzo trzeźwą i bardzo realną. Ale chcąc narzucić ją całemu społeczeństwu, nie mogli obnażyć jej brutalności samolubnej; chcąc zdobyć kierownictwo, musieli stanąć wobec narodu z programem politycznym, który zyskał nawet pewną popularność, bo stosował się w wielu punktach do nastroju opinii i bałamucił ją pozorami rozumu politycznego, powagi, doświadczenia, praktyczności i innych modnych w ostatniej dobie cnót obywatelskich.

Nie mówimy tu o polityce stańczyków, jako stronnictwa w Galicyi, ale o rozmaitych odmianach ich doktryny politycznej na obszarze całej Polski. Zapewne i w innych dzielnicach zyskiwała ona przeważnie zwolenników w gronie osób, których interesom osobistym dogadzała, ale oprócz tych naturalnych wyznawców podzielają jej zasady w całości lub w części ludzie szczerze przekonani, że to są dogmaty mądrości politycznej, poważne wskazania praktyczne. Nie zastanawiają się oni wcale, że jest to właściwie doktryna gabinetowa, która nie tylko że nie wytrzymała dotychczas próby praktycznej, ale nawet jako program teoretyczny nie ma uzasadnienia gruntownego. Główną przyczyną jej powodzenia i powagi było postawienie programu politycznego dla całej Polski a więcej jeszcze popieranie go za pomocą odpowiednio zorganizowanej działal-

*

ności we wszystkich dzielnicach naszego kraju. Bo niewątpliwie stronnictwo ugodowe ma pewną organizacyę, jakkolwiek nie ujętą w żadne formy określone, ale działającą solidarnie; niewątpliwie wybitniejsi jego przedstawiciele porozumiewają się ze sobą i słuchają haseł, wydawanych z Krakowa. To stanowi siłę partyi, nie zaś program jej i jego zalety praktyczne.

W polityce realnej niema złych lub dobrych dróg działania, są tylko drogi w danych warunkach odpowiednie lub nieodpowiednie. Nie można więc zasadniczo potępiać wszelkiej akcyi ugodowej, ale trzeba badać: czy w stosunkach dzisiejszych, np. w zaborze rosyjskim lub pruskim, są dla niej konieczne warunki. A takim koniecznym warunkiem wszelkiego kompromisu jest pojmowanie potrzeby i odczuwanie chęci zawarcia ugody przez obie strony. Otóż ani potrzeby, ani chęci po stronie przeciwnej dziś nie ma, bo trudno chyba przypuścić, że praktycznych mężów stanu przekonał p. Koźmian o »pożyteczności bytu polonizmu«. Zwolennicy polityki kompromisów, umyślnie obniżający siłę i energię narodu, gdyby byli istotnie praktycznymi mężami stanu, witali by chętnie wszelką działalność, wszelki ruch, któryby w opinii rządów i społeczeństw tę potrzebę i chęć rozbudzał. Politycy ugodowi, jak np. Parnell lub Wielopolski wówczas tylko mogli wystąpić, kiedy rządy uznały konieczność opanowania groźnego dla nich ruchu narodowego. Wtedy wzgląd — od kogo inicyatywa wychodzi, nie ma wielkiego znaczenia, ale dziś komu i na co mogą się przydać p. Koźmian z propozycyą obrony porządku społecznego, p. Kościelski z zapewnieniem, że Polacy wierni będą kulturze Zachodu, lub pp. Górski i Baranowski z uprzejmą gotowością odgrywania roli figurantów na pogrzebie Aleksandra III-go?

NASZE ROLNICTWO I ROSYJSKIE TARYFY KOLEJOWE.

I.

Wyzyskiwanie kresów, t. j. zaborów na korzyść Rosyi właściwej jest rysem charakterystycznym polityki rosyjskiej, widocznym zarówno w działalności rządu, jak w dążeniach i pożądaniach opinii publicznej, bądź szczerze wygłaszanych, bądź maskowanych do czasu. Najwyraźniej wszakże rys ten występuje w dziedzinie stosunków ekonomicznych, w której interesy osobiste i klasowe zlewają się harmonijnie z tendencyami „polityki narodowej“ rządu. Za panowania Aleksandra III. uzyskała ta polityka sankcyę najwyższą, zrzuciła płaszcz obłudy, a nawet ostatnią przepaskę, osłaniającą jej sromotę i «nagością bezczelna» oświadczyła jawnie, że wszelkie dążenia, potrzeby, i interesy odrębne — narodowe, religijne, umysłowe, społeczne, ekonomiczne — nie mają prawa istnieć samodzielnie, że trzeba je dobrowolnie skłonić lub przemocą ugiąć i poddać bezwzględnie interesom państwa oraz narodowości rosyjskiej.

Rosya właściwa, do której zaliczamy nietylko Wielkorosyę rdzenną, ale i późniejsze zdobycze carów moskiewskich, do Piotra Wielkiego włącznie — żyje z wyzysku kresów i nie mogłaby ostać się w dotychczasowych warunkach politycznych i społeczno-ekonomicznych, gdyby jej prawo do tej eksploatacyi odebrano, a nawet gdyby je tylko stanowczo ograniczono. Rozejrzenie się uważne w rachunkach skarbu rosyjskiego wykazuje, że wszystkie prowincye kresowe, z wyjątkiem nowych nabytków w Azyi, pomimo znacznie wyższych kosztów administracyi, w najszerszem znaczeniu tego wyrazu — dają sporą przewyżkę nietylko na pokrycie ogólnych wydatków państwowych, ale i niedoborów w guberniach rdzennie rosyjskich. Zaległości skarbowe w guberniach Rosyi właściwej, chociaż norma opodatkowania jest tam niższą i chociaż rozmaite manifesty od czasu do czasu część ich umarzają, wynoszą dziesiątki milionów. W niektórych guberniach wewnętrznych zaległości przewyższają kilkakrotnie roczną normę podatków.

Rok głodowy 1892 ujawnił naocznie opłakany stan kultury rolnej w Rosyi, a badania, z powodu tej klęski zarządzone, zupełnie bezstronne, bo nawet przez osoby, zajmujące wysokie stanowiska urzędowe, dokonywane, przekonały, że w guberniach południowo-wschodnich i t. zw. czarnoziemnych, gospodarka rabunkowa wyjałowiła ziemię, zniszczyła lasy, zmieniła warunki fizyczne, spowodowała długotrwałe susze, wylewy rzek, odsłoniła piaski ruchome, które coraz bardziej zasypują niwy urodzajne.

Takie rolnictwo, sposobem rabunkowym prowadzone, nie może wytrzymać współzawodnictwa z gospodarstwem intensywnem i prawidłowem w zachodnich prowincyach państwa, a wyzyskując nieopatrznie żyzność przyrodzoną ziemi, której zwykle nie zasila wcale, wyczerpuje ją coraz bardziej. Wskutek tego nieurodzaje powtarzają się częściej, dochody się zmniejszają a właściciele ziemscy natarczywie domagają się ulg i zarządzeń, które ułatwiłyby im konkurencyę z »okrainami“.

Przemysł, prowadzony rutynicznie, gromadzi jednak olbrzymie zyski, dzięki istnieniu wysokich ceł, uniemożliwiających prawie współzawodnictwo zagraniczne i dzięki rozmaitym utrudnieniom współzawodnictwa wewnętrznego. Fabryki rosyjskie dają często 30, 40, 50, a nawet 60 i 70% od kapitału zakładowego. Pomimo to przemysłowcy rosyjscy kilkakrotnie domagali się od rządu ograniczenia konkurencyi przemysłu polskiego, żądali nawet ustanowienia granicy celnej między Cesarstwem i Królestwem. Nie otrzymali tyle, ila chcieli, ale zyskali korzystne dla przemysłu rosyjskiego taryfy kolejowe i zagarnęli niemal wyłącznie wszystkie subsydya i zamówienia rządowe.

Handel rosyjski jest bardziej jeszcze rutynicznym, niż przemysł i trzyma się wogóle starej zasady kupieckiej: „jeżeli nie oszukasz, to nie sprzedasz“. Kupcy i przemysłowcy nie starają się wcale o podniesienie swej specyalności, o odpowiednie jej zorganizowanie, ale przedewszystkiem domagają się przywilejów dla siebie i usunięcia współzawodników obcych, a więc cudzoziemców, żydów i wogole wszystkich nie-rosyan.

Rolnictwo, przemysł i handel jedynie wyzysk mają na celu, wyzysk ziemi, pracy, nieświadomości i t. d. We wszystkich dziedzinach działalności gospodarczej Rosyanie prawie wcale nie dbają o ulepszenia, o rozbudzenie twórczości, podniesienie wydajności pracy, ułatwienie stosunków, ale domagają sią zawsze ograniczenia współzawodnictwa, zakazów, utrudnień wszelkiego rodzaju. Pragną wszystkich w państwie sprowadzić do poziomu swojej kultury, zniszczyć wszystko, co nad ten poziom się wzniosło, skrępować rutyną — byle nie utracić swego uprzywilejowanego stanowiska. Łódź i Sosnowice współzawodniczą z Moskwą ze szkodą tej ostatniej. Według logiki zwyczajnej, europejskiej, dla zapobieżenia temu należy starać się o podniesienie wytwórczości okręgu moskiewskiego za pomocą ulepszeń

technicznych, ułatwienia komunikacyi i sprowadzania materyałów surowych, wreszcie wynalezienia nowych rynków zbytu. Umysł rosyjski rozumuje inaczej: trzeba zubożyć Łódź, zamknąć jej drogi zbytu, nie pozwolić na połączenie koleją z zagranicą, na zmianę Sosnowic na miasto i t. d.

Polityka rządu trzyma się tych samych zasad, a wtorują jej głosy prasy, jedynego w Rosyi przedstawicielstwa opinii publicznej. Inteligencya rosyjska żyje także z wyzysku kresów. W handlu i przemyśle bierze udział bardzo mały, właściciele ziemscy rzadko gospodarują osobiście, zazwyczaj główny dochód daje im służba w instytucyach rządowych, w ziemstwie lub w przedsiębiorstwach prywatnych. Licznie rozrodzona biurokracya i niezwykle płodne duchowieństwo prawosławne produkują tyle prawdziwej i pseudo-inteligencyi, że Rosya właściwa nie może im dostarczyć odpowiedniej ilości posad nawet, najskromniejszych. Całe legiony tej hołoty urzędniczej cisną się na kresy, zajmują wszelkie stanowiska opróżnione, opróżniają zajęte przez „innorodców“, rusyfiknją, jednoczą, wyzwalają uciemiężonych, reformują, słowem robią, co w danej chwili potrzeba, i w ten sposób zyskują intratne posady oraz stanowiska społeczne.

Ta Rosya ciemna, w rutynie pogrążona, własną nieopatrznością wyniszczona jest dziś organizmem, niemal wyłącznie do polityki zaborczej i wyzyskiwania przystosowanym i w tym zakresie bardzo sprawnie działającym. Zagarnia coraz większe przestrzenie, wyciska z nich coraz silniej i wysysa coraz chciwiej soki żywotne i w ten sposób podtrzymuje swoje istnienie, zaspakaja wzrastające wymagania swoje i potrzeby.

Ten zbyt długi może a jednak niewystarczający wstęp wydał mi się koniecznym do właściwego oświetlenia przedmiotu, o którym mówić zamierzam, mianowicie stanu rolnictwa w zaborze rosyjskim, w związku ze sprawą taryf kolejowych. Przy sposobnoś i zaznaczam, że większość danych cyfrowych biorę z cennej, specyalnej pracy p. A. Suligowskiego pt. *Produkcya rolna i taryfy kolejowe*, wydanej niedawno w Warszawie.

Rolnictwo stoi w Rosyi właściwej na bardzo nizkim poziomie. Właściciele majątków większych nader rzadko zajmują się osobiście gospodarstwem, a nigdy prawie nie posiadają wykształcenia odpowiedniego. Jak zaznaczyliśmy, mają oni zwykle posady w służbie rsądowej, a pensye i zyski uboczne stanowią główne źródło ich dochodu. Na całe państwo rosyjskie były tylko dwie wyższe szkoły rolnicze — w Puławach i pod Moskwą. Wychowańcy tej ostatniej, jak świadczą zebrane drogą urzędową wiadomości, szli przeważnie do służby rządowej. Dzierżawcy — kupcy lub zbogaceni chłopi, „kułaki“ wyzyskują niemiłosiernie ziemię i pracę ludzką, byleby jak najprędzej możliwie największy zysk wydobyć; tak samo postępują oficyaliści obywateli ziemskich, prowadzących gospodarstwo na własną rękę. Wyjątkowo zdarzają się gospodarstwa racyonalnie urządzone, ale i te zazwyczaj mają na celu eksploatacyę forsowną, na sposób amerykański. Chłop ciemny, wyzyskiem zubożony, drapie ziemię narzędziami pierwotnemi i wyciąga z niej tyle tylko, żeby mu na opędzenie najpilniejszych potrzeb wystarczyło. Od tych potrzeb nie zawsze zbywa grosz na podatki, a więc „nie mając srebra ani miedzi, płaci tem, na czem siedzi“, a właściwie poddając się tej operacyi, odracza wypłatę, która przechodzi do kategoryi zaległości, wzrastających stale, pomimo energicznego ich „wybijania“ (termin powszechnie używany). Przemyślniejsi biorą się do handlu i lichwy, energiczniejsi często emigrują i szukają „nowej ziemi“ na dalekich kresach państwa. Dodać zaś trzeba, że wychodźcy idą przeważnie z gubernij. mających ziamię dosyć urodzajną i bynajmniej nie przeludnionych. O pierwotnym zaś stanie rolnictwa daje wyobrażenie ten szczegół, że pisarze ekonomiczni rosyjscy uposażenie gruntowe, wynoszące 2 dziesięciny na duszę męzką, t. j. około 16 morgów na rodzinę, złożoną z 4 tylko osób, uważają za niewystarczające do zapewnienia bardzo skromnych potrzeb chłopa.

Dzięki jednak wielkim obszarom i urodzajności naturalnej gruntów w znacznej części Rosyi, wysyła ona dużo zboża na rynki europejskie, mniej więcej tyle, ile dostarczają Stany Zjednoczone.

W r 1888	wywieziono	531	milionów	pudów[1])
» 1889	»	521	»	»
» 1890	»	479	»	»
» 1891	»	392	»	»
» 1892	»	171	»	»
» 1893	»	375	»	»

Rząd rosyjski gorliwie wywóz zboża popiera, ma się rozumieć, głównie ze względów fiskalnych. Niektórzy publicyści rosyjscy twierdzą nawet, że eksport zabiera więcej, niż wynosi przewyżka nad potrzeby ludności. Według danych urzędowych, przytoczonych w pracy p. Załęskiego[2]), Rosya z Królestwem, ale bez Finlandyi, Kaukazu i posiadłości azyatyckich, produkowała w okresie od 1883 do 1887 r. przeciętnie 1498 milionów pudów zboża pokarmowego rocznie. A ponieważ ludność tych części państwa wynosiła wówczas około 90 milionów, to licząc nawet tylko po $12\frac{1}{2}$ puda na osobę, otrzymamy zaledwie 373 miliony pudów na zasiew i wywóz.

P. Suligowski na podstawie wydawnictwa centralnego komitetu statystycznego twierdzi, że przewyżka wynosi przeciętnie około 520 milionów pudów w okresie od 1883 do 1892 r. Zbiór przeciętny z lat dziesięciu daje w ścisłym obrachunku 2.324, milionów pudów rocznie, na zasiew potrzeba około 553 milionów pudów, a spożycie licząc po 13 pudów na osobę, 1.250 milionów pudów. Ale do obrachunku wchodzi tu i owies, którego spożycie w okresie 1883 — 1887 obliczono na 250 milionów pudów rocznie. Tę cyfrę należałoby odtrącić od ogólnej przewyżki, która wówczas wynosić będzie tyko 270 milinów pudów.

Przytoczymy tu dane, dotyczące Królestwa i t. zw. kraju zachodniego.

Królestwo: zbiór 184,344.149 p., zasiew 40,388.543, spożycie 107.337.486, nadmiar 36.618,120.

Gubernie południowo-zachodnie (kijowska, wołyńska, podolska): zbiór 183,473.390 p., zasiew 36,004.924, spożycie 105,970.579, nadmiar 41,497.887.

Gubernie północno zachodnie (wileńska, kowieńska, grodzieńska, mińska, witebska, mohylewska): zbiór 148.064.431 p., zasiew 37,599,185, spożycie 115.859.172, *niedobór* 5.493,926.

W ostatecznym obrachunku produkcya rolna daje przewyżkę w ilości 72,672.080 pudów. Dodać jednak należy, że nadmiar może być nawet większy, bo w zaborze rosyjskim rozwinięta jest bardzo produkcya kartofli która wynosi:

	w Królestwie	281.564.684	pud.
	w gub. połud.-zachod.	35,127.224	»
	w gub. półn -zachod.	116.719.533	»
razem		433,411.441	pud.

[1]) Pud równa się 40 funtom, 16.379 kilo.

[2]) *Rosya i jej siły ekonomiczne.* Przegląd ekonomiczny N. 1 r. 1894.

Po odtrąceniu odpowiedniej ilości na sadzenie, i zamienieniu pozostałej reszty na żyto. licząc pud kartofli za 0.19 puda żyta, otrzymamy 63,186.023 pudów zboża.

Powyższe dane świadczą o niepomyślnym stanie produkcyi rolnej na Litwie i Rusi w porównaniu z Królestwem. Gubernie południowo-zachodnie, zajmujące przestrzeń większą niż Królestwo (2993 i 2312 mil kwadr.) i posiadające na ogół glebę żyzniejszą, produkują taką samą ilość zboża, a osiem razy mniej kartofli. Gubernie północno-zachodnie na przestrzeni 5.563 mil kwadr., z ludnością, dorównywającą ludności Królestwa, produkują mniej o 36 milionów pudów zboża i 165 milionów pudów kartofli. Ten nizki stan rolnictwa jest następstwem bezpośredniem praw, zabraniających tam Polakom nabywania ziemi. Zakaz ten utrudnia niezmiernie kredyt i uniemożliwia gospodarkę nakładową, znaczne obszary gruntów pozostają bez uprawy, nowi właściciele ziemscy, Rosyanie eksploatują ziemię w sposób rabunkowy, a podobnie postępują i liczni tam dzierżawcy Żydzi.

Na stan rolnictwa wpływa także brak dogodnych komunikacyi; w Królestwie 1 kilometr drogi żelaznej przypada na 56 kilom. kwadr. przestrzeni, zaś w t. zw. kraju zachodnim na 95 kilom. kwadr.

Ale najbardziej szkodzą rolnictwu i wstrzymują rozwój jego w zaborze rosyjskim nizkie ceny zboża. W Królestwie. posiadającem w stosunku do swej powierzchni długą linię graniczną, wywóz zboża jest łatwiejszym, ale i tam z powodu nizkich cen gospodarstwo rolne postępować nie może. Zależą zaś te ceny nietylko od warunków światowego rynku zbożowego, ale także, i z pewnością w większej mierze, od ułatwionej konkurencyi zboża rosyjskiego.

Popieranie ze względów fiskalnych wywozu zboża, chociażby z uszczerbkiem spożycia, i popieranie interesów rolnictwa rdzennie rosyjskiego, bez względu na szkodę, jaką działanie takie wyrządza rolnictwu na kresach zachodnich państwa. charakteryzują politykę taryfową Rosyi. Ponieważ jednak ułatwienie wywozu może być osiągniętem. nie mówiąc już o innych, odpowiedniejszych środkach, za pomocą takich taryf — któreby wcale produkcyi rolnej Królestwa i prowincyj ościennych nie szkodziły — przypuszczać można, że system taryf zbożowych, kilkakrotnie w krótkim przeciągu czasu, a zawsze na szkodę naszą zmieniany, ma cel uboczny powstrzymania rozwoju rolnictwa w ziemiach polskich. Takie dążenie rządu do zubożenia krajów podwładnych wydaje się nieprawdopodobnem, ale mamy przecie niewątpliwe dowody świadomego powstrzymywania rozwoju przemysłu i krępowania handlu w zaborze rosyjskim. Tymbardziej możliwem jest podobne postępowanie z tego względu, że istniejący system taryf zbożowych szkodzi przedewszystkiem własności ziemskiej, która do niedawna była dla rządu. a dotychczas jest dla wielu polityków rosyjskich symbolem nienawistnej polskości.

Rozprawiano i pisano dużo o upadku rolnictwa w zaborze rosyjskim, wyszukiwano przyczyny najrozmaitsze. przeklinano konkurencyę amerykańską, a nie zwracano wcale uwagi na konkurencyę rosyjską, chociaż od lat wielu młyny sprowadzły pszenicę z Rosyi, a sklepy i sklepiki warszawskie sprzedawały mąkę «krupczatkę». Dopiero w ostatnich czasach fakt ten spostrzeżono, a badając przyczyny jego, wykryto, że ta zabójcza dla produkcyi naszej konkurencya istnieje tylko dzięki korzystnym dla niej taryfom.

Wszystkie państwa wpływają na uregulowanie taryf kolejowych, ale tylko Rosya ustanawia je dowolnie nawet na prywatnych drogach żelaznych. Wszędzie istnieją specyalne taryfy zbożowe, a w niektórych krajach nawet różniczkowe, ale te ostatnie mają zawsze na celu tylko utrudnienie dowozu zboża obcego, nigdy zaś nie stosują się do transportów w komunikacyi wewnętrznej, jak to jest w Rosyi. Są więc taryfy różniczkowe rosyjskie pomysłem samodzielnym, zastosowanym nietylko do odmiennych istotnie warunków, ale i do odmiennych celów, bo stanowią jeden z wielu przywilejów, nadanych ludności rdzennej z wyraźną szkodą innych obywateli państwa.

W artykule następnym rozpatrzymy stopniowe zmiany w taryfach zbożowych i wpływ, jaki one wywarły na ceny ziemi i zboża, oraz wykażemy różnice w kosztach produkcyi, które niesprawiedliwość przywileju jasno uwydatniają.

J. P.

MŁODZIEŻ POLSKA W ZABORZE ROSYJSKIM.

II.

Upadek fizyczny i jego przyczyny. Wady systemu wychowawczego. Ich źródła. Wpływ szkoły rosyjskiej. Działalność wychowawcza rodziny wobec szkoły.

Tego, kto wejdzie do sali wykładowej uniwersytetu warszawskiego, na początku roku akademickiego, kiedy ławy zapełnia świeżo wypuszczony z gimnazyów zastęp młodzieży, przedewszystkiem musi uderzyć dziwnie anemiczna fizyognomia tej gromady. Stanąwszy wobec niej, człowiek ma uczucie, jakiego się doznaje w pewne dni jesienne, takie szare dni, kiedy to nie jest ani ciepło, ani zimno, ani wietrzno, ani cicho, słońce nie świeci i deszcz nie pada...

Apatyczny wyraz twarzy, oko przygasłe, powolność i brak sprężystości w ruchach, często przygarbiona postać i wychudłe ramiona — oto przeciętny wygląd tych dwudziestoletnich posiadaczy matury.

Odrazu się widzi, że jest to młodzież, której wychowanie fizyczne poprowadzono w sposób najsmutniejszy. Istotnie, nad zduszeniem życia w tych nieszczęśliwych pracowała zgodnie rodzina i szkoła: pierwsza nieświadomie, druga ze złej woli.

Sądzę, iż nie dopuszczę się przesady, gdy powiem, że w ostatnich trzydziestu latach byliśmy społeczeństwem najniedorzeczniej pojmującem swe obowiązki względem młodych pokoleń. Ucierpiała na tem przedewszystkiem najważniejsza, tak jest, najważniejsza część wychowania — wychowanie fizyczne. Złożyło się na to wiele przyczyn, z których tu wymienimy tylko główniejsze.

Skutkiem rozwoju przemysłu i wzrostu miast po ostatniem powstaniu, przestaliśmy być w znacznym stopniu społeczeństwem szlachecko-rolniczem, ogromna część naszej inteligencyi zamieniła się w mieszkańców miast i przyjęła mieszczański tryb życia. Odsunęliśmy się od natury, która dotychczas była opiekunką naszych dzieci i ich wychowawczynią fizyczną, natomiast nie doszliśmy do zrozumienia obowiązków, jakie stąd na nas spadły. Znaleźliśmy się w najgorszej dla wychowania fazie rozwoju kulturalnego: wyszliśmy ze stanu, w którym natura kształci i pielęgnuje młode ustroje ludzkie, a nie dosięgliśmy jeszcze tego szczebla, na którym społeczeń-

stwo pojmuje potrzebę racyonalnej hodowli ludzi. Stanęliśmy w tym względzie na granicy pomiędzy barbarzyństwem a współczesną cywilizacyą, pozbawieni przyrodzonej wyższości pierwszego i rozumowych zdobyczy ostatniej. To też młodsze pokolenia naszej inteligencyi pod względem stanu fizycznego, wytrzymałości nerwów tak są upośledzone, że zajmujemy stanowczo pod tym względem jedno z ostatnich miejsc w szeregu ludów europejskich. W znacznej mierze przyczyniło się do tego szlacheckie pochodzenie naszej inteligencyi: jako warstwa, żyjąca przez niejedno pokolenie w dość wysokiej kulturze duchowej, posiada ona organizacyę względnie złożoną i nazbyt może wrażliwą na wszelkie bodźce zewnętrzne, a stąd łatwiej ulegającą rozstrojowi; po drugie zaś, żyjąc w pierwszem najczęściej pokoleniu życiem miejskiem, inteligencya nasza niedość jest do niego przystosowaną i niedość odporną na ujemne jego wpływy. Niemniej przeto lwia część tej smutnej zasługi należy się systemowi wychowania, który ostatnimi czasy począł ulegać zmianie na lepsze, a który jeszcze narobi pewnie więcej złego, niż zdolni jesteśmy zrozumieć.

Niedorzeczność systemu wychowawczego zawdzięczamy też w znacznej mierze wypielęgnowanej ostatnimi czasy chorobie, niesłusznie zwanej miłością macierzyńską i ojcowską. To, co dawniej było uczuciem normalnem i służącem za podstawę bytowi społecznemu, co pozostało we właściwych granicach u ludu, w klasach inteligentnych wypaczyło się w zjawisko chorobliwe. Ojcowie, doznający bicia serca na odgłos płaczu dziecka śród zabawy, matki, szalejące z niepokoju, gdy bona, mająca wrócić z dziećmi z przechadzki!, spóźnia się o pięć minut, są u nas zjawiskiem aż nadto powszedniem. Stosunek rodziców do dzieci, zamiast być rozumnem czuwaniem nad rozwojem dziecka, zamiast trzeźwej dbałości o to, żeby mu dać siły do życia, do znoszenia jego przeciwności, żeby w nim wytworzyć pewną rzutkość i zdolność radzenia sobie w każdej potrzebie, zamienił się w jakąś szaloną pasyę, w jakieś odruchowe osłanianie dziecka przed wszystkiem, co mu może szkodzić i co, zmuszając je do samodzielnej odporności, może wywołać w niem własności pożyteczne. Ciekawe byłoby studyum nad pochodzeniem tej patalogii uczuć rodzicielskich. Skrępowani brakiem miejsca możemy tej kwestyi zaledwie kilka słów poświęcić.

Jest rzeczą niewątpliwą, że po ostatniem powstaniu obniżyły się u nas popędy obywatelskie. Ze społeczeństwem naszem stało się to, co w noweli Zycha z owym chłopem podlaskim, który stracił wiarę dlatego, że się za nią wycierpiał, doszedł do przekonania, że jego religia nie jest lepsza od innych, kiedy Bóg jej nie broni. Nie upodlił się on, ale został »poganinem«. I nasz ogół po strasznej klęsce w walce o wolność nie ugiął się, nie zaczął pełzać u stóp wrogom, ale w znacznej mierze stłumił w sobie czynną wiarę narodową, a popędy obywatelskie, będące w dobie ruchu przedmiotem kultu, zaczęto uważać za zgubny prawie pierwiastek w charakterze człowieka. Ich miejsce zajął instynkt samozachowawczy, a dla t. zw. uczuć altruistycznych ujście pozostało w rodzinie. Ze zaś materyału uczuciowego nie brakło, więc zamknięty w zbyt ciasnych ramach musiał on uledz zmianom chorobliwym, zamieniając się w swojego rodzaju potworność.

Niewątpliwie ogromny wpływ na rozwój tej nie właściwie pojętej miłości rodzicielskiej, wywarła zmiana charakteru społecznego naszej warstwy oświeconej, jej przekształcenie się ze szlachty na mieszczaństwo. Kult pieniądza, który zajął miejsce kultu rodowego, kultu krwi, musiał się ogromnie odbić na stosunku rodziców do dzieci. Gdy klasyczny przedstawiciel stanu szlacheckiego, z jego przesądami, widział w swem dziecku przedewszystkiem członka rodu, który powinien być wychowany na godnego piastuna rodowego klejnotu, który musiał posiąść pewne, właściwie pojęte zalety — wielkomieszczanin widzi w swym potomku przedewszystkiem dziedzica swego kapitału, który, by przejąć spuściznę, musi przedewszystkiem istnieć, i dlatego wszelkim kosztem musi być zachowany przy życiu. Całe więc wychowanie dziecka skierowane jest przedewszystkiem ku zachowaniu jego istnienia, bez względu na to, czy będzie ono zdolne do pracy, czy nie będzie posiadało wad fizycznych i moralnych, mogących je zrobić ciężarem dla całego otoczenia. Że zaś wielkie mieszczaństwo jest warstwą nadającą ton całemu współczesnemu życiu, przeto wpływ jego na stosunki rodzinne odbił się na całej inteligencyi.

Do nadmiernego rozwoju instynktów rodzinnych kosztem obywatelskich przyczynił się też wiele wzrost znaczenia kobiety w rodzinie i jej wpływu na kierunek wychowania. Gdy dawniej ojciec postanawiał o losie synów od lat bardzo wczesnych, dziś to należy do matki; ta zaś kieruje się w wychowaniu prawie jedynie instynktem macierzyńskim, który, nie krępowany szerszymi względami, przy wysokiej nerwowości dzisiejszych matek, przybiera rozmiary nienormalne, potęgując wpływy powyżej wskazane.

Na tle tego zboczenia wyrobił się system wychowania fizycznego, polegający, ściśle mówiąc, na osłanianiu dziecka przed działaniem ujemnych wpływów zewnętrznych, zamiast wyrabiania w ustroju jego odporności na te wpływy. Strzeżenie dziecka przed zaziębieniem, potknięciem się, stłuczeniem i t. p., posunięte do niebywałej przesady, spowodowało trzymanie go zdaleka od zmian temperatury, skrępowanie swobody ruchów i t. d. Jako skutki tego musiały się zjawić: zanik mięśni i brak tęgości w nich, będący, jak to wiadomo współczesnym psychologom, podstawą słabości charakteru, chorób woli i t. p.; zbytnie wydalikacenie zmysłu ciepła, pociągające za sobą w istocie moralnej człowieka lenistwo, nadmierny, chorobliwy rozwój instynktu samozachowawczego i egoizmu; niezręczność ruchów znajdująca swój odpowiednik w braku rzutkości i inicyatywy czynnej, w niezaradności, i t. d. Wszystkie te wady fizyczne i moralne doszły do znaczenia stałych znamion ustroju młodszych pokoleń naszej inteligencyi.

Przełom umysłowy ostatniej doby, o którym mówiliśmy wyżej, przyczynił się niezmiernie do upowszechnienia śród wykształconego ogółu podstawowych wiadomości o fizycznej istocie człowieka. Wiadomości te atoli, zbierane niesystematycznie z popularnych książek i artykułów, złożyć się musiały na wiedzę mniej lub więcej powierzchowną, świecącą lukami. Ta wiedza, wpływając dodatnio na teoretyczne pojmowanie istoty ludzkiej, w zastosowaniu do wychowania nie mogła oddać dobrych usług. Nie zastąpiła ona zdrowych instynktów dawniejszych ludzi, żyjących w bliskiem zetknięciu z przyrodą, a podstawiona na ich miejsce, pociągnęła najfatalniejsze skutki. Niewątpliwie, przewrót w systemie wychowawczym, wywołany przez przyrodnicze pojmowanie człowieka, doprowadzi z czasem, przy większem pogłębieniu wiedzy, do bardzo korzystnych skutków, korzyści te widzimy już dzisiaj w coraz rozumniejszem pojmowaniu potrzeb młodocianego ustroju, pierwsza jednak doba tego przewrotu przyniosła z sobą wiele niedorzeczności, wynikających z wszelkie-

go niedouczenia się. Zamiast ułatwiania i potęgowania dodatniego wpływu przyrody na człowieka wprowadziła ona walkę z przyrodą, skutkiem czego wychowano całe zastępy fizycznych niedołęgów.

Tu się jeszcze nie kończy wpływ rewolucyi umysłowej czasów ostatnich. Jednem ze znamion zasadniczych »pozytywizmu warszawskiego« był *kult rozumu*. Bojownicy postępu w imię rozumu zwalczali wszystko, co im stało drodze, w imię rozumu dla wszystkiego okazywali pogardę. Rozum został uznany za jedyną miarę przy ocenianiu wyższości jednego człowieka nad drugim. Jeszcze dla przymiotów charakteru miano jakie takie względy, zalety jednak ciała nie budziły żadnego szacunku. Przeciwnie, być silnym, barczystym, rumianym — znaczyło to samo, co być głupim. W dobrym tonie śród młodzieży był typ intellektualisty, t. j. takiego jegomościa, co owinięty flanelkami pod ubraniem, nawierzch się otulał pledem, nosił głębokie kalosze, okulary, miał blade oblicze, wychudłe ramiona i chroniczny katar. Wszelka rycerskość, zamaszystość, kawalerska fantazya, jako zalety szlacheckie, popadły w pogardę, a natomiast człowiek współczesny starał się nietylko z potrzeby, ale dla zasady, unikać przeciągów i, przechodząc koło rusztowania, patrzeć czy mu cegła na głowę nie spada. Ten kult rozumu wpłynął ujemnie z jednej strony na system wychowania, wywołując skupienie uwagi na wychowanie umysłowe, z pokrzywdzeniem innych stron, jak kształcenia charakteru i hodowli ciała, z drugiej zaś oddziałał na zachowanie się młodzieży dorastającej, która widząc, iż na uznanie zasłużyć można jedynie zaletami umysłu, a w części jeszcze — charakteru, pozostawiła w całkowitem zaniedbaniu stronę fizyczną, nie starając się o męskie piękno, o zręczność i t. p. Ten przemijający stan rzeczy dzisiaj już poczyna ustępować miejsca poglądom rozumniejszym i normalniejszym, niemniej jednak okres kultu rozumu nie należy jeszcze do przeszłości i nie zaraz przyjdzie czas na kult człowieka, jako istoty fizycznej, moralnej i umysłowej, który tak pięknie kwitnął w starożytnej Grecyi i który dziś stanowi jedną z podstaw potęgi narodu angielskiego. Dziś jeszcze śród naszej młodzieży panuje powszechnie smutne lekceważenie zalet cielesnych, będące jedną z najważniejszych przyczyn upadku fizycznego dzisiejszych pokoleń.

Tak się w ogólnych zarysach przedstawiają czynniki, które odegrały najważniejszą rolę w wychowaniu fizycznem naszej młodzieży. Naturalnie mówimy tu o wpływach, których źródło leży w samem społeczeństwie. Obok nich występuje jeszcze jeden czynnik, niezmiernie ważny przewyższający pod względem siły działania wszystkie wyżej wymienione. Jest nim szkoła rosyjska.

W historyi gimnazyum rosyjskiego w królestwie polskiem trzeba rozróżniać dwa okresy, odpowiadające rządom dwóch kuratorów okręgu naukowego warszawskiego — Wittego i Apuchtina.

Rządy pierwszego były okresem rusyfikacyi formalnej. Po powstaniu rząd postanowił szkołę polską przerobić na rosyjską, usunąć z niej wszystko, co polskie. Trzeba było załatwić to w krótkim czasie, drogą stopniowych reform, używając przytem rozmaitych sposobów dla przyśpieszenia sprawy bez wywoływania wielkiego hałasu. Artysta w przebiegłości, Witte dokonał dzieła tego wzorowo. Umierając w r. 1879, pozostawił on następcy swemu szkołą całkowicie rosyjską, posiadającą śród nauczycieli blisko połowę Rosyan. Formy istnienia dla młodzieży polskiej w Kongresówce były stworzone, teraz trzeba było tylko siły brutalnej, któraby ją w te formy wtłoczyła. Potrzeba było człowieka, któryby na karkach młodzieży zaciężył i zmusił je do ugięcia się. Nie chytrość, ale brutalna bezwzględowość i zdolność miażdżenia tego, co się opiera, stała się przymiotem niezbędnym dla kierownika oświaty w Królestwie. Odpowiedniego człowieka naturalnie znaleziono. Kuratorem okręgu na miejsce Wittego mianowany został Apuchtin. Dla szkoły przyszedł nowy okres, okres niesłychanego ucisku, który, choć nie wprowadził żadnych ważniejszych zmian formalnych do szkoły, więcej zaważył na losach naszego młodego pokolenia, niż poprzedni.

Apuchtin spodziewał się młodzież zruszczyć i wychować z niej ludzi, przywiązanych do państwa, przekonawszy się zaś, że nie jest to wcale rzecz łatwa, co więcej, że jest to rzecz niemożliwa, postanowił przynajmniej robić wszystko, ażeby z tej młodzieży społeczeństwo polskie miało jak najmniej pożytku. W tym celu szkoła pod jego kierownictwem stara się dać jak najmniej wiedzy, zabić wszelką twórczość, szerszy polot i samodzielność umysłu, w tym celu usiłuje znieprawić charakter, wyzuć młodzież z zasad moralnych, zabić poszanowanie godności osobistej, wyplenić wszelką tęgość charakteru i zdolność do czynu, w tym celu wreszcie tłumi żywotność młodocianych ustrojów, niszczy energię fizyczną, zabija zdrowie. Powinniśmy zrozumieć, że, jeżeli patenty dojrzałości otrzymują tylko młodzieńcy nędzni fizycznie, wyzuci z temperamentu, neurastenniczni, to nie zrządzenie losu widzieć w tem trzeba, ale świadomą robotę szkoły. Skutek ten osiąga się przez cały, jednolicie zbudowany system, na którego charakterystykę nie mamy tu miejsca [1]).

Przez tę właśnie szkołę apuchtinowską przeszło całe dzisiejsze pokolenie młodzieży uniwersyteckiej, pochodzącej z Królestwa i stanowiącej główny zastęp młodzieży zaboru rosyjskiego.

Ogrodnicy wiedzą dobrze, iż szkółkę drzew zakładać trzeba na gruncie ubogim, ażeby młode ustroje roślinne nabrały odporności, przywykły do życia w warunkach nieprzyjaznych. Wiedzą oni, że roślina, przesadzona z lepszego gruntu na gorszy, nie ma siły do walki o byt i ginie. Nasze społeczeństwo tego nie rozumie. Rodzice nasi wiedzą dobrze, iż szkoła rosyjska jest ciężkim czyśćcem, martwią się z góry na myśl o tem, co dziecko w tej szkole będzie musiało przejść, ale nie przyjdzie im do głowy, że ich obowiązkiem jest przygotować je należycie do tej szkoły. Kiedy się decydują skazać swych synów na męczarnie, jakie im szkoła rosyjska gotuje, to pierwszą rzeczą jest wyrobić w nich należytą odporność, dać im siły do zniesienia, z najmniejszą możliwie stratą — wpływów systemu apuchtinowskiego. Nasze wychowanie domowe, przedszkolne można nazwać hodowaniem w cieplarni, na doniczkowej ziemi płonki, która później ma być przesadzona na jałowy piasek i wystawiona na mroźne wichry północne. Choć wiem, iż wywołam u wielu czytelników oburzenie, twierdzę stanowczo, iż zabójczym jest ten powszechny w naszych rodzinach wykształconych system wychowania, dążący do wypielęgnowania jak najcieńszej skóry u dziecka, u tego dziecka, które z góry jest skazane na dziesięcio letnią chłostę moralną, na ucisk umysłowy i pastwienie się fizyczne.

---

[1]) Patrz szereg moich artykułów p. t. „Ze studyów nad szkołą rosyjską w Polsce". *Przegląd Wszechpolski*, drugie półrocze 1895 r.

Jeżeli zestawimy te wszystkie wpływy, któreśmy powyżej starali się pobieżnie scharakteryzować, jeżeli ocenimy należycie ich doniosłość, to nietrudno nam będzie zrozumieć całą nędzę fizyczną dzisiejszej naszej młodzieży, tem więcej uderzającą, że niedawnośmy jeszcze widzieli inną młodzież.

Przypomnijmy sobie pokolenie, zapełniające szkoły przed laty trzydziestu, a nawet dwudziestu, te temperamenty żywe, energiczne, te natury szalone, czasem dzikie, zdolne do wszelkich wybryków młodzieńczych i jednocześnie do natężonej pracy, i porównajmy je z młodzieżą dzisiejszą, cichą, pokorną, »porządną i taktowną«, a zarazem pozbawioną energii, prawie niedołężną, ulegającą przy cokolwiek cięższej pracy rozstrojowi nerwów... Co za różnica!

Prawda, że tamto pokolenie zrodziło się przed powstaniem, że dali mu życie rodzice, którzy nie byli resztką społeczeństwa, po zabraniu mu wszystkiego, co największą przedstawiało wartość, że ojcowie dzisiejszej młodzieży — to słabsza część narodu, jeżeli nie pod względem moralnym, to przynajmniej pod fizycznym, bo ruch zbrojny oszczędził przedewszystkiem inwalidów, że zatem sam materyał, z którego wyrosła dzisiejsza młodzież gorszy był, niż dawniej; ale z drugiej strony, nigdy młodzież u nas nie wychowywała się w tak nieprzyjaznych dla fizycznego rozwoju warunkach. Nigdyśmy nie mieli szkoły, świadomie pracującej nad zabiciem sił do życia w naszych dzieciach, nigdy młode pokolenia nasze nie podlegały tak bezwzględnej tyranii, nigdy też w samem społeczeństwie nie panował tak niedorzeczny, tak nieodpowiadający przyrodzonym potrzebom, tak daleki od wymagań naszego twardego życia system wychowania przed- i pozaszkolnego.

R. Skrzycki.

Z CAŁEJ POLSKI.

Skutki ugodowej polityki kościelnej. Zamach na seminarya. Szkoły niemieckie w Galicyi. Najgrzeczniejszy naród.

Już w czasie pierwszych rokowań Kuryi z rządem rosyjskim przed kilkunastu laty, odzywały się nawet wśród duchowieństwa głosy, ostrzegające, że ta ugoda grozi naszym interesom narodowym, a kościołowi pożytku nie przyniesie. Ugoda została zawarta, warunki jej dosyć ściśle określono i zdawało się z początku, w miodowych miesiącach pojednania kościoła z rządem, że wątpliwości i obawy były nieuzasadnione. Biskupi zaprowadzili istotnie porządek w diecezyach, pozbawionych przez długie lata legalnego zwierzchnictwa, wzmocnili karność rozluźnioną, usunęli różne nadużycia i niewłaściwości, których sporo nagromadziło się w okresie poprzednim, wreszcie starali się ożywić i podnieść działalność oraz wpływy moralne duchowieństwa. Wkrótce jednak okazało się, że gorliwości pasterskiej nie wolno przekraczać granic, przez rząd zakreślonych, że śmiałe i sumienne pełnienie obowiązków jest w Rosyi występkiem polityczym. Ks. Hryniewiecki, biskup wileński, który zastał w swej dyecezyi największe rozprzężenie stosunków kościelnych i energicznie zaczął tępić zgorszenie, wypędzając jawnych odstępców i świętokradców, zmuszając mniej winnych do pokuty publicznej, z rozkazu władzy był porwany i wywieziony do Rosyi. Ten sam los spotkał jego następcę i najdzielniejsi księża na Litwie, którzy ośmielili się bronić praw kościoła i narodowości, narazili się na surowe kary lub musieli szukać schronienia za granicą. Inni biskupi, przestraszeni karą, która spadła na ks. Hryniewieckiego, narażeni na ciągłe i dokuczliwe nieprzyjemności, ostygli w gorliwości, a raczej ograniczyli jej zakres, niektórzy z nich nawet, jakkolwiek nie sprzeniewierzyli się obowiązkom, zgodzili się jednak na ustępstwa, niezgodne z wysokiem pojmowaniem zadań kapłana i obywatela. Na Litwie i Rusi nabożeństwa dodatkowego w języku rosyjskim nie usunięto z tych kościołów, w których poprzednio było zaprowadzone. W Królestwie wprowadzono stopniowo język rosyjski do kancelaryi i korespondencyi władz duchownych. Po śmierci Aleksandra III zgodzili się niektórzy biskupi na żądanie władzy, żeby rota przysięgi wiernopoddańczej i manifest o wstąpieniu na tron Mikołaja II odczytano w kościołach w języku rosyjskim i tylko opór kilku odważniejszych księży i powszechne oburzenie ludności, a następnie, zdaje się, rozkaz Rzymu, zwróciły ich z tej fałszywej drogi. Wreszcie, wyzyskując usposobienie Kuryi, która obawia się zerwania stosunków z Rosyą, a nawet silniejszego ich zaostrzenia, rząd zabrał się z bezwzględnością okrutną do wyplenienia na Podlasiu i w Ziemi Chełmskiej wszelkich śladów unii i do propagandy prawosławia, która formalnie, sądząc z wykazów statystycznych, robi w guberniach lubelskiej i siedleckiej szybkie postępy. O zamykaniu kościołów, obalaniu krzyżów, mówić szczegółowo nie będziemy, bo wszystkie te fakty mają czytelnicy w świeżej pamięci.

Doprawdy, przyszłemu historykowi naszych czasów trudno będzie uwierzyć, trudniej jeszcze zrozumieć, że te nadużycia i prześladowania, bezprawia i okrucieństwa nie zakłócały dobrych stosunków między Watykanem a Petersburgiem, wywoływały, co najwyżej drobne, natychmiast uprzejmie załatwiane nieporozumienia.

O nowym zamachu na prawa kościoła w zaborze rosyjskim donoszą teraz korespondenci z Warszawy. Już od lat kilku rząd domagał się, żeby nauczycielami języka i literatury rosyjskiej w seminaryach katolickich byli Rosyanie, a więc prawosławni, mianowani przez biskupów z pośród kandydatów, zaleconych przez kuratora okręgu naukowego, Apuchtina. Biskupi sprzeciwiali się temu żądaniu, opierając się na konkordacie, który oddaje seminarya pod wyłączny ich zarząd. Ale ponieważ dawniej Hurko, a teraz Szuwałow usilnie na nich nalegali, podali biskupi prośkę do cesarza, ażeby nie ograniczano ich władzy w seminaryach. W pierwszych dniach stycznia nadeszła z Petersburga odpowiedź stanowczo odmowna. Na razie rząd nie wymaga mianowania prawosławnych nauczycieli języka rosyjskiego, ale nakazuje, żeby przy egzaminach wstępnych i ostatecznych byli zawsze obecni delegaci od kuratoryi i od generał-gubernatora, którzy powinni mieć głos decydujący. Prawdopodobnie rząd rosyjski przygotował już grunt w Rzymie, zkąd, jednocześnie z odpowiedzią odmowną z Petersburga, przybył do Warszawy agent dyplomatyczny p. Izwolskij, który zawsze występuje w roli pośrednika, ilekroć stosunki przybierają charakter ostrzejszy.

W ciągu kilkunastu lat po powstaniu, kiedy stosunki kuryi z rządem rosyjskim były zerwane, kościół istotnie wiele stracił, ale policzywszy dobrze to, co zyskał w owym czasie, otrzymamy rezultat dodatni. Polityka watykańska za Piusa IX, bezwzględna, zasadnicza, odpowiadająca kategorycznem *non possumus* na wszelkie zabiegi kompromisowe, miała wielką powagę moralną i budziła szacunek dla siebie nawet w ludziach, którzy

z przekonania nie byli katolikami, nawet w prześladowcach i wrogach kościoła. W zaborach rosyjskim i pruskim katolicyzm wojujący zjednoczył się ściśle ze sprawą narodową i rzeczywiście oddał jej wielkie usługi. Ale mylą się ci, którzy dziś sądzą, że sojusz ten tylko dla jednej strony był korzystnym i chcą teraz odłączyć interesy katolicyzmu od od interesów polskości lub przeprowadzić między nimi wyraźną linię graniczną. Na tem zespoleniu interesów, jednakowo zagrożonych, kościół wygrywał bardzo dużo. Gorliwość religijną, usposobieniu polskiemu niewłaściwą, rozgrzewał i podsycał zapał patryotyczny, a świadomość narodowa, rozumiejąc potrzebę wspólnego działania, tłumiła wszelkie niechęci, przerabiała przeciwników kościoła na odważnych jego obrońców lub przynajmniej hamowała wrogie ich działanie. Inteligencya polska przez patryotyzm stała się katolicką, lud wcielił w katolicyzm swoje poczucie narodowe. Ale inteligencya i lud, widząc sprzeczność interesów kościoła z interesami narodowości, dziś już nie wahają się w wyborze, chociaż nie chcą i nie myślą zrywać nadwątlonego sojuszu, żywiąc nadzieję, że są to chwilowe prądy w polityce kuryi, zwalając winę na osoby i okoliczności zewnętrzne i t. d. Są jednak fakty, dowodnie wykazujące, że tam nawet, gdzie świadomość narodowa dopiero się budzi, np. na Śląsku pruskim, lub w koloniach robotniczych w Westfalii lud polski broni swych praw i interesów nawet przeciw duchowieństwu.

Dyplomacya w polityce kościelnej podkopuje to, co stanowi główną polityki tej siłę, bezwzględną wierność zasadom. Prawda, że taka polityka wymaga od swych wyznawców hartu ducha, odwagi i wysokiej moralności, że ci, którzy do pewnego poziomu dociągnąć się nie mogą, stają się nawet odstępcami. Ale chociaż ci odstępcy szkodzą niemal sprawie kościoła, właściwie nic ona nie traci, a nawet zyskuje, pozbywając się ludzi słabych i nikczemnych. Natomiast polityka ustępstw sprowadza bardzo niebezpieczne skutki, toleruje bowiem tchórzliwość i obojętność religijną ośmiela popędy samolubne, każdemu człowiekowi właściwe, uświęca kompromisy, którym trudno kres oznaczyć. Ludzie prawi i szlachetni, którym wszakże brakuje charakteru, co u nas często się zdarza, ujęci w twarde kluby obowiązku nieuniknionego, zasady niewzruszonej, spełnią uczciwie swoją powinność, a nawet wznieść się mogą do bohaterstwa, do męczeństwa Ale ci sami ludzie, jeżeli rozwiążemy ich sumienie z krępujących je nakazów bezwzględnych, jeżeli pozwolimy im działać swobodnie i folgować swoim obawom, skrupułom a nawet osobistym poglądom na sprawy publiczne, staczać się będą po pochyłości coraz niżej, robić ustępstwa z początku drobne, potem coraz większe, w sumie zaś bardzo wielkie, wreszcie zawierać kompromisy, prowadzące do zupełnej abdykacyi.

Jest to prawdziwem naszem szczęściem, że nieprzyjaciele nie zwracają uwagi na ten rys naszego charakteru, a raczej na ten brak charakteru, bo za pomocą ustępstw i kompromisów mogliby nas zaprowadzić bardzo daleko, dalej, niż najpotulniejsi z nas iśćby chcieli.

Najlepiej można to obserwować w Galicyi, gdzie nie ma represyi, którąby wywoływała lub podniecała opór. We Lwowie, a nawet w Krakowie częściej słyszeć można język niemiecki, aniżeli rosyjski w Warszawie. Gości z zaboru rosyjskiego podczas wystawy w r. 1894 raziło niemile to panowanie niemczyzny w hotelach, kawiarniach i restauracyach, gdzie służba po niemiecku rozmawia między sobą. Tłómaczą ten fakt oburzający koniecznością, ze względu na oficerów. Ale oficerowie w pułkach, stojących w Galicyi, powinni umieć po polsku, a jeżeli mówić nie chcą, to należy ich do tego zmusić. W Warszawie dopiero za rządów Hurki i to po wielu karach, nakładanych na kupców, zaczęto, nie wszędzie zresztą, mówić do urzędników i wojskowych po rosyjsku, we Lwowie zaś nawet oficerowie Polacy w rozmowie ze sobą używają języka niemieckiego.

Zaznaczyłem ten objaw, jako rzucający się w oczy są jednak dziwniejsze i wymowniejsze dowody naszej pobłażliwości i niedołęztwa. Dawno już postanowiono zaprowadzić język polski na kolejach, urzędach pocztowych, w żandarmeryi i t. d. gdzie dotychczas w stosunkach wewnętrznych niemczyzna panuje. Uchwała jest, ale o wykonaniu jej nikt nie myśli.

Z tegorocznego sprawozdania Rady szkolnej dowiadujemy się o istnieniu w Galicyi 126 szkół z językiem wykładowym niemieckim, 31 publicznych i 95 prywatnych. We Lwowie jest gimnazyum niemieckie, do którego oddają dzieci przeważnie Żydzi i Rusini moskalofile. Wogóle pierwsi często podtrzymują szkoły niemieckie, istniejące głównie w miastach. W niektórych okręgach szkolnych Galicyi wschodniej więcej z pewnością znajdzie się szkół niemieckich, niż polskich, n. p. Drohobycz 7, Kamionka Strumiłowa 9, Lwów 11, Gródek 9, Stryj 5, Jaworów 6, i t. d. Z jakich funduszów utrzymują się szkoły prywatne niemieckie — Rada szkolna nie mówi. Dodać trzeba, że oprócz wyliczonych, są dwie szkoły niemieckie w Jarosławiu i Przemyślu, założone i utrzymywane przez ministeryum wojny, nad któremi Rada szkolna nie wykonywa wcale kontroli.

Jeżeli szkoły prywatne w imię wolności nauczania tolerujemy, to w każdym razie nie należy pozwalać na szkoły niemieckie państwowe, bo przecię językami krajowymi w Galicyi są, a raczej powinny być polski i ruski.

Ale czy można dziwić sie pobłażliwości Rady szkolnej, kiedy są i jawnie zdanie swoje ogłaszają ludzie, domagający się wzmocnienia nauki języka niemieckiego w szkołach naszych. Niedawno przecię dr. Godzimir Małachowski żądał na zebraniu publicznem, żeby historyę wykładano dzieciom polskim po niemiecku.

Ta pobłażliwość dla niemczyzny i Niemców tylko razi w Galicyi, ale w zaborze pruskim staje się groźnem niebezpieczeństwem. Porównywaliśmy Lwów i Kraków z Warszawą, teraz powiemy, że w Poznaniu język niemiecki jest bodaj bardziej upowszechniony, niż rosyjski w Wilnie, gdzie istnieje zakaz mówienia po polsku w miejscach publicznych. *Dziennik poznański* drukuje teraz dane statystyczne o własności ziemskiej i wykazuje w każdym powiecie sporo majątków polskich, dzierżawionych i zarządzanych przez Niemców. Ma się rozumieć Niemcy nie trzymają Polaków za rządców i nie wydzierżawiają im prawie nigdy majątków. Nie mówiąc już o względach ekonomicznych, bardzo ważnych w społeczeństwie, niemal zupełnie pozbawionem możności zajmowania posad urzędowych, taki stan rzeczy szkodliwy jest pod względem politycznym. Oficyaliści i dzierżawcy Niemcy w dobrach polskich, jak zapewnia *Dziennik*, nadużywają swoich stanowisk w celach germanizacyjnych, zmuszają robotników do mówienia po niemiecku, rugują polskich ekonomów, włodarzy i rzemieślników. Są pomiędzy nimi tacy, którzy należą do »hakatystów« i jeździli w deputacyi do Bismarka. Jak fakty tego rodzaju wpływają na lud polski objaśniać chyba nie trzeba.

Nie ma bodaj w świecie drugiego narodu, któryby, obok głośno wyznawanego patryotyzmu, posiadał taki brak zmysłu zachowawczego, takie lekceważenie swojej

samodzielności, taką występną pobłażliwość dla obczyzny i wyrozumiałość dla wrogów. Kult cudzoziemczyzny, lękliwe niedołęztwo, a najbardziej zwyrodniały humanitaryzm składają się na wytworzenie tego objawu. Pisma nasze z podziwieniem zaznaczają, że Anglicy, tacy przecie cywilizowani, oburzeni na Niemców, wyrzucają ich z posad, zrywają z nimi stosunki handlowe, usuwają towary niemieckie. Jakże się dziwić nie mają, kiedy u nas po rugach bismarkowskich zaledwie kilka firm kupieckich i przemysłowych zerwało stosunki z Niemcami. Niedawno gazety niemieckie podały wiadomość, że jakiś stary szlachcic pokazał drzwi kupcom niemieckim, należącym do wrogiego nam bractwa H. K. T. ale dzienniki polskie nie chciały temu uwierzyć, tak ten fakt, zupełnie naturalny wydawał się im nieprawdopodobnym.

Jesteśmy dziś narodem najgrzeczniejszym, najbardziej humanitarnym, najpobłażliwszym dla innych, sądząc, że te właściwości są świadectwem naszej dojrzałości cywilizacyjnej. Niestety, nie są to przymioty panów cywilizacyi, ale jej lokajów. Bezwzględność narodowa, szorstkość, gwałtowność i t. d. nie przeszkodziły Anglikom, Niemcom i Francuzom zająć stanowiska naczelnego, owszem pomogły im do wysunięcia się naprzód w cywilizacyi. Naród, który silnie czuje swoją samoistność i ceni swoją godność, nie może być ani potulnym, ani ślamazarnie humanitarnym.

Taka dla wszystkich pobłażliwa miłość,
To nie jest wcale miłość, ale zgniłość...

słusznie powiedział już przed trzydziestu kilku laty Karol Baliński. Tolerancya, posunięta do zapomnienia o swoich własnych interesach, cierpliwie znosząca to nawet, co jest nam wrogiem i szkodliwem, nie świadczy wcale o wysokim rozwoju poczucia sprawiedliwości, ani o poszanowaniu praw cudzych, ale dowodzi jedynie braku przekonań lub braku charakteru. Musimy być silni, jeżeli żyć chcemy, a egoizm narodowy jest koniecznym atrybutem siły. Człowiek, który nie ma w charakterze pewnej dozy egoizmu i bezwzględności, pomimo wszelkich zalet umysłu i serca nigdy nie wybije się w życiu, pozostanie zawsze, być może, sympatycznym, ale lekceważonym niedołęgą. Naród, który podporządkowuje żywotne interesy swoje jakimś wyższym względom, który tolerancyjnym krytycyzmem rozcieńcza swoją umysłowość, a ludzkością i pobłażliwością osłabia energię swoich uczuć, nie wytrzyma współzawodnictwa z innymi, nie nakładającymi sobie w dążeniu do celu żadnych hamulców.

Jastrzębiec.

KRONIKA ŻYCIA UMYSŁOWEGO.

„Hamlet“ Matlakowskiego“.

Oto dzieło!...

Mimowoli wyrywa się to słowo wobec książki, którą w tej chwili mam w ręku i na którą patrzę z pewną rozkoszą. Fizyognomia jej odrazu pociąga i budzi szacunek.

Gdy w miejscu spacerowem znuży człowieka długi szereg osób, idących po to, żeby się pokazać, niosących na twarzach wyraz pustki wewnętrznej, braku myśli i aspiracyi, i gdy naraz z tego szeregu wysunie się postać, mniej gładka i wymuskana od innych, ale z czołem pofałdowanem pracą myśli, z okiem, w którem błyszczy szlachetny zapał, wtedy wzrok przykuwa się do niej, nie może się oderwać, rad, że po męczącej wędrówce ma na czem spocząć.

Takiem oryginalnem zjawiskiem, wyróżniającem się z pospolitego szeregu bieżących wydawnictw, jest książka, o której mówię ..

Był w Warszawie lekarz, człowiek pochodzący z ludu, który wielką pracą i zdolnościami zdobył sobie jedno z pierwszych stanowisk w swoim zawodzie. Był jednym z najlepszych chirurgów.

Z pola pracy zabrała go w roku zeszłym przedwczesna śmierć na suchoty...

Człowiek ten, który poświęcał tyle czasu pracy naukowej, który się zamęczał ciężką praktyką chirurgiczną, którego wycieńczała straszna choroba, ciągnąca go z nieprzezwyciężoną siłą i szybkością do grobu, miał przy tem wszystkiem energię i czas na poważne i gruntowne studya estetyczne i literackie, na wielką, samodzielną pracę myśli w dziedzinach, nie mających nic wspólnego z jego zawodem. Ten chirurg, specyalista w kierunku, w którym ludzie zostają przeważnie inteligentnymi rzemieślnikami, był jednym z najszerzej wykształconych u nas ludzi.

Łatwo się domyśleć, że mówię o Matlakowskim.

Niewielu ludzi, którzy poznali jego pracę o budownictwie tatrzańskiem, już dawniej dziwił ten lekarz, wykazujący tyle zapału i polotu myśli w dziedzinach, obcych jego zawodowi. Obecnie, w zdumienie wprawia książka, którą na schyłku dni swoich opracował. Jest to studyum nad »Hamletem« i dosłowny przekład arcydzieła.

Studyów literackich i przekładów zjawia się tyle, że jedno więcej nikogoby dziwić nie powinno. Ale to studyum i ten przekład nie jest podobny do innych.

Praca ta wyróżnia się przedewszystkiem szerokim zakrojem i gruntownem wyczerpaniem przedmiotu, autor bowiem przestudyował i ocenił wszystko, co jest godnego uwagi w literaturze »Hamleta« — jako taka jest ona nietylko wybitnem zjawiskiem w naszem piśmiennictwie, ale dziełem wartości wszechludzkiej. Przebija się z niej wielkie umiłowanie i fanatyczne uwielbienie dla przedmiotu, w którem można widzieć pewną bezkrytyczność wobec arcydzieła, pewne zaślepienie pod wpływem zachwytu, ale przed którem czoło pochylić trzeba.

Nie to wszystko jednak stanowi najwybitniejsze znamię tej książki. Cóż więc?... Chciałbym odpowiedzieć krótko, jednem zdaniem, i zdaje mi się, żem odpowiedź znalazł.

Książka ta jest protestem przeciw dzisiejszemu stanowi naszego piśmiennictwa, naszej umysłowości. Protest to nie dla sztuki, nie dla zwrócenia na siebie uwagi, jak to najczęściej bywa, nie z potrzeby ulżenia sobie, ale z pracy myślowej głębokiego i szlachetnego człowieka, który widzi zło, pojmuje jego doniosłość, może nieco jednostronnie, jak wszyscy ludzie z temperamentem, i wszystkoby zrobił, by je odwrócić, by je naprawić. To protest nie warchoła, ale wielkiego obywatela, który, jeżeli nie geniuszem, to prawością wyrasta po nad rzeszę pismaków.

Przedewszystkiem mamy tu protest przeciw naszemu językowi literackiemu.

Matlakowski przekładu swego dokonał językiem niezwykle czystym, możliwie pozbawionym obcych naleciałości, i takim też językiem napisał swój obszerny wstęp do przekładu. Znać po jego polszczyźnie, że czytał i odczytywał starych naszych pisarzy, że się zagłę-

*

biał w tajniki mowy ludowej, że z pierwszych i ostatniej starał się wydobyć wszystko, co dziś może posłużyć do wyparcia obcych wyrazów. Można mu zarzucić, że poszedł w tym kierunku nieco zadaleko, wprowadzając do współczesnego piśmiennictwa kilka wyrazów wręcz niezrozumiałych, dziwnie dla ucha brzmiących, ale niewinną tę przesadę wynagradza rozkosz, z jaką czytelnik wchłania swojskie dźwięki jego języka, z jaką odczuwa tę iście polską budowę zdań i poi się męską siłą wysłowienia, nie bojącego się nawet wyrazów »nieprzyzwoitych«.

Na końcu wstępu do »Hamleta« autor wypowiada swój pogląd na literaturę piękną doby bieżącej, na społeczne zadanie piśmiennictwa, i tam też skarży się na skażenie naszego języka przez piszących.

Istotnie, lata popowstaniowe są okresem upadku naszego języka literackiego, upadku nad którym pracowała przedewszystkiem prasa. Pośpieszne w redakcyach dzienników przerabianie artykułów obcych na polskie wytworzyło urodzaj na najwstrętniejsze dziwolągi obcego pochodzenia,' namnożyło setkami wyrazów i zwrotów niemożliwych. Z pomocą w tej sprawie psucia naszej mowy pośpieszyła literatura piękna, a zwłaszcza naukowa, której młodsi przedstawiciele pojęcia nie mają o zasadach języka ojczystego. Szkoła polska w zaborze rosyjskim i pruskim nie istnieje, w Galicyi ją mamy, ale tam sami nauczający nie mogą się częstokroć otrząsnąć z wpływów niemczyzny i ruszczyzny oraz wznieść po nad gwarę prowincyonalną, gramatyki mało kto systematycznie się uczy, a starzy, klasyczni pisarze wyszli z mody. Na polu piśmiennictwa wyprawiają sobie harce Polacy zfrancuziali, podniemczeni i podruszczeni, obok nich całe zastępy literatów i dziennikarzy pochodzenia żydowskiego, posiadających często talent, ale niezmiernie rzadko rozumiejących ducha języka, którym piszą, wreszcie rzesza kobiet, przeważnie pozbawionych talentu, zalewających łamy pism i półki księgarskie nowelami i obrazkami, przy najlepszych chęciach odbierających naszej mowie męską siłę i dźwięczność i zamieniających ją w jakąś słabą, niedołężną paplaninę.

Jestem przekonany, że w skażeniu języka zaszliśmy tak daleko, iż książka Matlakowskiego przez wielu czytelników nie będzie właściwie oceniona: nie poznają się na zaletach pięknego jej języka, rozedmą to, co stanowi u niego przesadę, i oburzy ich, że odbiegł on tak daleko od mowy nowelek, artykułów i tłómaczeń popularno-naukowych, będących chlebem powszednim naszego umysłu.

Ta odrębność formy u Matlakowskiego odpowiada treści, odrębnej od tego, co wypełnia nasze współczesne wydawnictwa. Na książce jego znać, że niema w nim ani krzty wyrobnika literackiego, mierzącego swą pracę na wiersze, ani źdźbła grafomana, piszącego dla samego mechanizmu pisania. Z kart tych wygląda przede wszystkiem człowiek szlachetny, myśliciel samodzielny, piszący dlatego, że ma coś społeczeństwu do powiedzenia, coś, do czego przywiązuje wielką wagę.

Przełożył »Hamleta«, bo go ukochał, bo widział w nim najpotężniejszy przejaw myśli ludzkiej, bo rozumiał, że dobre, ścisłe przekłady wielkich dzieł kształcą i zbogacają język i myśl narodu; przełożył pomimo istniejących już tylu tłómaczeń, bo go żadne nie zadawalniało; żeby zaś jak najbardziej zbliżyć czytelnika do szekspirowskiego oryginału, nie kusił się o wiersz, o miarę, ale dał przekład dosłowny i wydał go obok angielskiego tekstu, z mnóstwem znakomicie opracowanych objaśnień językowych.

Chcąc przelać w czytelnika swe uwielbienie dla arcydzieła, chcąc mu uprzytomnić całą potęgę myśli; zaklętą w ten jeden utwór, dał mu wstęp tak obszerny, iż sam w sobie jest dużem dziełem, tak sumiennie, z taką znajomością przedmiotu opracowany, że nie łatwo znaleść coś podobnego w najbogatszych literaturach.

Człowiek atoli, który dużo przeczytał i przetrawił, który więcej jeszcze samoistnie przemyślał, czuł potrzebę podzielenia się ze światem wnioskami, do których doszedł, poglądami na stan pismiennictwa i jego zadania. Na to poświęcił dwadzieścia stronic, z którychby Francuz zrobił wspaniały żółty tom, obfitujący w dowcipy, łamańce i grymasy, a Niemiec — kilkutomowe, najeżone cytatami, ciężkie dzieło.

Ale jakże dalekie są te kartki od rozmaitych krytycznych i pseudokrytycznych rozpraw, których autorowie, gromada przeżuwaczów, mielą cudze myśli, nie starając się, czy też nie mogąc należycie ich przetrawić. Kto zaleniwy jest, by przeczytać i przerobić całą książkę, niech przeczyta przynajmniej te kilka kartek, a dowie się, jak niesłychamy wdzięk posiadają ubrane w czystą polszczyznę myśli człowieka z czystem sercem, gorącą krwią i samoistnie pracującym mózgiem, nawet wtedy, gdy ten człowiek nie wyrasta talentem i indywidualnością ponad średnią miarę.

Protestując przeciw skażeniu i zubożeniu naszego języka, autor jednocześnie głosi protest przeciw psuciu i wyjaławianiu naszej myśli, które jest skutkiem żywienia społeczeństwa marną strawą umysłową. »Płyciuteńka rzeczułka — są jego słowa — na mieliznach i odsepach mazurskiego piasku, niosąca urywki francuskiej beletrystyki, przekłady cudzoziemskich powieści, echa wydarzeń przygodnych, leniwo płynąca z dnia na dzień przez dzienniki, nie może unieść wcale i obracać wielkich zadań nauki i literatury wielkiej ręki.« Mówiąc o źródłach, z których dziś myśl nasza się żywi, maluje on mocnemi barwami dzisiejszy upadek etyczny cywilizowanej ludzkości, wyzucie się z ideałów społecznych, wybujanie egoizmu i wyłączności klasowej, wreszcie jednostronność najwyżej dziś rozwiniętej literatury pięknej — mianowicie francuskiej, nie wychodzącej] po za stosunki miłosne, traktowane z musu, dla uniknięcia jednostajności — ze strony chorobliwej. Roztrząsając stosunek sztuki do społeczeństwa, dobru społecznemu przyznaje pierwszeństwo, narażając się na krakanie tysiąca »twórców«, których pretensye nieskończenie przerosły miarę talentu i którzy w uprawianiu »sztuki dla sztuki« zeszli do niedorzeczności. Ku końcowi wypowiada wielką prawdę, o której zapominają u nas i ci, co piszą, i ci, co krytykują: ».... winniśmy wreszcie dorość dzisiaj do samowiedzy, że tylko swojska literatura, wyrosła z tutejszego życia, bogata w pierwiastki samoistne i oryginalne, w myśli i uczucia świeże, ta tylko posiada wartość i znajdzie uznanie w Europie tak wysoce wykształconej pod względem artystycznym; że naśladowanie obcych lub przedmuchiwanie cudzych prądów na swoje niwy jest modną ale niegodną robotą, a szczególnie gdy to zapożyczanie odbywa się dla ubocznych celów liberalizmu lub konserwatyzmu, neochrystyanizmu lub krzewienia najnowszych wyników«.

W tej chwili odczuwam krzywdę, jaką mi wyrządza cenzura warszawska, z którą się liczy ta książka, pomimo że ją drukowano w Krakowie. Dzięki jej nie wiem, jak autor patrzył na przyczyny smutnego stanu

naszej literatury współczesnej, która, pomimo sztucznie rozdymanych powodzeń na zewnątrz, istotnie bardzo skromne w porównaniu z innemi zajmuje stanowisko. Mamy parę wielkich talentów – to prawda, ale to, co z pod piór polskich wychodzi, zbyt błahą stronę życia uprawia lub zbytniem grzeszy kalectwem, by mogło dorosnąć do znaczenia ogólno-ludzkiego i wnieść coś istotnie nowego do literatury powszechnej.

Nie wiem, jak ten myślący człowiek pojmował podniesienie naszego piśmiennictwa do znaczenia. jakie przystoi narodowi, co wydał Mickiewicza, nie wiem w czem widział jego niższość od innych. Rozumiał on, że »tylko swojska literatura, wyrosła z *polskiego* (dla cenzury trzeba mówić »tutejszego«) życia« posiada wartość i chciałby, żeby literatura szukała dla siebie przedmiotu w najwyższej i najgłębszej stronie życia.

Dlaczego nasze piśmiennictwo tym wymaganiom nie odpowiada?

O tem warto obszerniej pomówić. Zrobimy to następnym razem.

Ro—d.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 9 stycznia

Wyjazd Szuwałowa do Petersburga Możliwa zmiana w polityce rządu. Jej potrzeba. Bankructwo polityki „komitetu urządzającego". Próby polityczne. P, Markgrafskij o naszym ludzie. Nowa odezwa.

Szuwałowa wezwano do Petersburga. Nerwowy i wrażliwy nasz ogół komentuje sobie ten fakt żywo, a w braku pewnych danych dopełnia go rozmaicie. Jedni twierdzą, że jenerał-gubernator otrzyma nareszcie ulgi dla Królestwa, inni, że pojechał po instrukcye co do nowych środków ucisku. Tymczasem sam fakt wyjazdu urzędnika do siedliska władz centralnych nic nie mówi i jest najzwyklejszą rzeczą. Inna sprawa, jeżeli zechcemy wnioskować na podstawie okoliczności, jakie mu towarzyszą,

Kto się przygląda uważnie zachowaniu się obecnemu władz rosyjskich względem naszego społeczeństwa, ten musi się zgodzić, że znać w niem pewne wahanie się, pewne szukanie nowych dróg. Nie chcemy przez to powiedzieć, że system rządzenia zawahał się w czemkolwiek, przeciwnie, wszystko tam idzie po dawnemu, w dotychczasowym kierunku, tylko z większym pośpiechem, nigdy bowiem nie było tylu naraz nowych robót na warsztacie rusyfikacyjnym, co w chwili obecnej; twierdzimy tylko, że strona taktyczna, dyplomatyczna wykazuje niejaką niepewność, wynikającą z braku wyrobionego poglądu. Wyjaśnimy rzecz bliżej.

Rusyfikacya, prowadzona energicznie od chwili upadku powstania, nie idzie nigdy sama, ale towarzyszy jej polityka, szukająca dla rządu oparcia wewnątrz naszego społeczeństwa. Bezwzględna walka z polskością, nie licząca się całkiem z usposobieniem społeczeństwa i przygotowana na to, że całe społeczeństwo, zjednoczone przeciw rządowi, wypowie mu walkę na życie i śmierć, byłaby grą nader niebezpieczną. Naród polski, pomimo karygodnej skromności w mniemaniach o sobie, przedstawia siłę, której lekceważyć nie można, której zwłaszcza nie może ignorować państwo, mające tyle, co Rosya, wrogów zewnętrznych i wewnętrznych. Gdyby całe nasze społeczeństwo, od wierzchu do podstaw połączyło się w świadomej, solidarnej obronie swych praw narodowych przeciw gwałcącemu te prawa rządowi, niepodobna by było wróżyć wielkiego powodzenia »sprawie rosyjskiej na kresach zachodnich«. Stąd potrzeba łączenia z rusyfikacyą polityki, osłabiającej opór przeciw rządowi.

Pionierzy „*russkawo dieła*", mężowie z osławionego »komitetu urządzającego«, mieli pod tym względem program zupełnie wyraźny. Uznali oni lud polski za najpewniejsze dla rządu oparcie. Nęciła ich ciemnota i bierność tego ludu, o której świadczył mały jego udział w ruchu narodowym, wierzyli bardzo w uczucia, jakie wzbudzi uwłaszczenie, przeprowadzone przez rząd, sprytnie ukrywający właściwe źródła tej reformy i przedstawiający ją, jako łaskę cara, wreszcie liczyli ogromnie na skuteczność wpływu komisarzy włościańskich, na serwituty, na szkołę ludową i t. d.

Program ten wystąpił tak wyraźnie, że jedyną warstwą społeczną, która otrzymała coś w rodzaju samorządu, był lud wiejski, pomimo że, będąc najmniej oświeconą częścią społeczeństwa, najmniej był przygotowany do radzenia o sobie.

Program komitetu urządzającego stał się drogowskazem dla działaczy rosyjskich, którzy nas do ostatnich czasów »urządzali«, w miarę atoli rozwoju stosunków społecznych i postępu oświaty sprawa stawała się coraz mniej prostą i jasną. Dopóty można wysuwać *lud* przeciw *narodowi* t. j. przeciw narodowym aspiracyom, dopóki jest on ciemny i stoi na najniższym szczeblu rozwoju pojęć politycznych. Tymczasem stosunki społeczne Kongresówki w dobie popowstaniowej, pomimo wszelkich przeszkód, stawianych przez rząd, musiały wywołać podniesienie poziomu umysłowego mas ludowych. Działały tu trzy czynniki wielkiej wagi: 1 o uwłaszczenie chłopa uczyniło go samodzielnym członkiem współczesnego społeczeństwa, rozszerzając zakres jego doświadczenia społecznego, a stąd wywołując rezszerzenie zakresu pojęć; 2-o rozwój przemysłu i wzrost miast zamienił znaczną część ludności wiejskiej na klasę robotniczą, ruchliwszą zawsze od chłopów pod względem politycznym, odmienną pojęciami i oddziaływającą na pojęcia masy ludowej w okolicach fabrycznych; 3-o wreszcie, żywa dosyć działalność społeczeństwa naszego na polu oświaty ludowej, pomimo nieprzyjaznych warunków, w jakich się odbywała, pomimo ograniczeń i prześladowania ze strony rządu, zdołała wywołać dość szybki rozwój czytelnictwa u ludu, śród którego zaczęło się wytwarzać coś w rodzaju chłopskiej inteligencyi, czytającej dość dużo i interesującej się bieżącem życiem społecznem i politycznem, ta zaś cząstka ludu z konieczności wywiera wpływ na całe swe otoczenie.

Pod działaniem tych trzech czynników lud nasz ogromnie postąpił pod względem umysłowym w ostatniem trzydziestoleciu, okazując się coraz mniej odpowiedniem narzędziem w rękach komisarzy włościańskich, naczelników powiatowych i pisarzy gminnych. Nie chcemy przez to powiedzieć, żeby się już wyemancypował z pod wpływu organów władzy, ale faktem jest, że władze te coraz więcej mają z nim kłopotu i coraz częściej zmuszone są notować jego przeciwrządowe usposobienie.

Zmiana stosunków pod tym względem musiała w znacznej mierze odebrać podstawę programowi, wprowadzonemu w życie przez komitet urządzający i wywołać w sferach rządowych potrzebę obejrzenia się za innemi drogami działania. Ku czemu się rząd przechyli, tego nam niepodobna przewidzieć, zwłaszcza wobec tajemnicy pokrywającej wszelkie roboty i przygotowania władz centralnych.

Może się mylę, ale jestem prawie pewien, że jeżeli jakakolwiek zmiana w stosunku rządu do społeczeństwa u nas nastąpi, to będzie ona wywołana potrzebą, powyżej wskazaną.

Jak sfery wyższe niepewne są dróg, które wybrać należy, by dojść do celu, o tem świadczy zachowanie się tutejszego urzędowego organu Jak wiadomo, *Warszawskij Dniewnik* ostatnimi czasy wystąpił z paru artykułami, mającymi na celu to uspokojenie Polaków w ich obawach, to zachęcenie do polityki ugodowej, przekonanie ich, że inna polityka jest dla nich zgubna. Artykuły te były u nas pewną nowością, wszystkich zaś zdziwił fakt, że najważniejszy z nich przedrukowały pisma polskie bez przeszkód

Całkiem podstawnie z naszej strony przyjęto te artykuły za rozpoczęcie nowej taktyki ze strony rządu, jest atoli pewna okoliczność, nadająca im szczególny charakter. Mianowicie, nie były to artykuły redakcyjne, ale bardzo przejrzyście podpisywał je pułkownik żandarmów, p A. Markgrafskij, znany ze swych operacyj na gruncie galicyjskim i uważany stąd przez władze za znawcę kierunków, politycznych polskich. Widocznie więc władze nie chciały brać na siebie odpowiedzialności i zobowiązywać się do czegokolwiek tymi artykułami. Że zaś pozwolono dotykać tak ważnych tematów prywatnej osobistości — boć pułkownik żandarmów nie może być chyba uważany za poważnego przedstawiciela polityki rządowej, i w tym wypadku mógł występować jedynie, jako zwykły dziennikarz — że powołano do tego człowieka, którego poglądy są pod wielu względami bardzo naiwne, to świadczy, że rząd nie wie, jak sobie począć i robi eksperymenty, mogące wyjaśnić położenie.

Że p. Markgrafskij niewiele się nauczył o naszych stosunkach, dowodzą jego artykuły w *Moskowskich Wiedomostiach*.

Zastanawiając się nad sprawą oświaty ludowej w Kongresówce dochodzi do wniosku, że działalność szkół ludowych nie wydaje należytych owoców. Uważa za niezbędne zwiększenie dozoru nad szkołami przez powiększenie liczby naczelników dyrekcyi naukowych, ażeby ci mogli jak najczęściej szkoły zwiedzać, a następnie zajęcie się dostarczaniem ludności materyału do czytania. Według p. M, lepiej ludu nie uczyć czytać, niż nauczywszy, puścić go potem samopas, ażeby, korzystając z nauki, czytał nielegalne książki patryotyczne. Rząd powinien, według niego, dostarczać ludowi książek, zakładać czytelnie i t. p.

W tem wszystkiem niema nic dziwnego, nie można bowiem żądać od żandarma, ażeby ten obojętnie patrzył, jak lud się wyzwala z pod umysłowej opieki rządu. Natomiast zabawny jest niezmiernie sposób, w jaki p. M. objaśnia szerzenie się śród ludu książek polskich, zwłaszcza nielegalnych. Powiada on, że inteligencya polska w poczuciu swej bezsilności zwróciła się do ludu w celu wytworzenia z niego siły do walki z Rosyą, że program ten postawiły sobie wszystkie warstwy społeczeństwa, a zwłaszcza galicyjska szlachta konserwatywna (!), która wydaje patryotyczne książki dla ludu i przesyła je przez kordon. Galicya w jego oczach jest źródłem wszystkiego złego...

Jak widzimy p. Markgrafskij, mający być jednym z najlepszych znawców naszych stosunków śród urzędniczego świata rosyjskiego, nieświetny w tym artykule zdał egzamin ze swych wiadomoici. Trzeba mieć cywilną odwagę żandarma rosyjskiego, żeby prawić z powagą takie głupstwa, jak to, że konserwatyści galicyjscy przemycają przez kordon broszury.

Pyszni są ci Rosyanie! Wbili sobie w głowę ćwieka, że lud powinien być przywiązany do rządu, czując wdzięczność za uwłaszczenie i ulegając wpływowi nie zbyt subtelnej dyplomacyi komisarzy włościańskich. Gdy widzą, że, się dzieje wbrew ich nadziejom, że chłopi nietylko czytają odezwy i broszury, ale je sobie nawet przepisują, że wogóle lud staje się coraz mniej powolnem w ich rękach narzędziem, wtedy szukają przyczyny na zewnątrz. Za mało mają inteligencyi, żeby zrozumieć, iż jest to naturalny rozwój pojęć śród ludu, rozwój, który oni sami przyśpieszają swą barbarzyńską polityką, nie cofając się przed niczem, wdzierając się nawet do kościoła, który w pojęciach tego ludu jest czemś więcej, niż cerkiew w oczach prawosławnych poddanych cara. P. Markgrafskiego, który takie znaczenie przypisuje wpływowi Galicyi i tak nią straszy swój rząd, możemy uspokoić zapewnieniem, że taką samą, jak ona, rolę odgrywają wobec Kongresówki prowincye do Prus należące. Sam miałem sposobsość widzieć w jednej wiosce blisko granicy pruskiej biblioteczkę u inteligentniejszego chłopa, który sprowadzał sobie do niej »z pod Prusaka« popularne wydawnictwa patryotyczne i całej wsi je rozpożyczał. Cała zasługa zarówno Galicyi, jak Poznańskiego, pod tym względem jest ta, że tam dzięki innym prawom, dzięki konstytucyi wolno wydrukować książeczkę o Sobieskim i Kościuszce lub o konstytucyi Trzeciego maja. Lud, wiedząc z tradycyi lub z rozmowy z ludźmi oświeceńszymi o tych postaciach historycznych i wypadkach, chce się czegoś więcej o nich dowiedzieć, a nie znajdując w legalnej literaturze odpowiednich wiadomości, sprowadza sobie nielegalną, o ile mieszka blisko granicy. Na to nie ma rady. Jedyny zaradzenia »złemu«, sposób, którego rząd rosyjski napewno się nie uchwyci, — byłby rozluźnić więzy cenzuralne i pozwolić w Warszawie pisać i drukować to o czem każdy Polak wiedzieć powinien i, przyszedłszy do jakiej takiej oświaty, wiedzieć musi. Dopóki to nie nastąpi, będziemy mieli ten stan, co dzisiaj, że chłop, o ile mu się zdarza spotkać książkę nielegalną, nazywa ją »polską« albo »prawdziwą polską« i okazuje względem niej o wiele większe zaufanie, niż względem cenzurowanej, ba! nawet jak sam miałem sposobność w jednym wypadku się przekonać, nie chce czasem więcej czytać książek legalnych, bo im przestaje wierzyć. Któż temu winien? Pewnie panowie konserwatyści galicyjscy.

Zrozumiałą jest rzecza, iż rząd, tracąc zaufanie do ludu, ma pewien kłopot. Przekonywa się on, że dotychczasowa polityka »demokratyczna«, starająca się oprzeć na ludzie, poczyna coraz bardziej tracić grunt ped nogami. Trzeba myśleć o zmianie programu, a ta kwestya nie jest tak prostą i jasną...

Jeden z mieszkańców prowincyi, który przed kilku dniami mię odwiedził, opowiadał mi, iż policya powiatowa i miejska zajmuje się z niezwykłą energią poszukiwaniem nowej odezwy, jaką ostatnimi czasy rozrzucono w znacznej liczbie egzemplarzy między ludem. Odezwa ta, datowana z Warszawy, opatrzona jest pieczęcią z orłem i pogonią i podpisana »Komitet Obrony Narodowej«. Zawiera ona wskazówki dla ludu, jak się winien zachować na wypadek wojny Rosyi z sąsiadami. Nikt tu nie wie i nie domyśla się nawet, co to może być za »Komitet«; odezwa, spadłszy niespodzianie, wywołała powszechne zdziwienie. Ukazała się ona w końcu listopada, w chwili największego naprężenia stosunków na wschodzie i widocznie traktowano w niej rzecz ze strony praktycznej, bo wskazano nawet, które linie kolejowe należy niszczyć w celu utrudnienia wojskom rosyjskim mobilizacyi. Nie mając jej w ręku, ale polegając na informacyi pośredniej, nie mogę ocenić właściwego jej charakteru. W każdym razie przedstawia ona zjawisko interesujące, zwłaszcza ze względu na zaniepokojenie, jakie wzbudziła we władzach.

* * *

— *Wydalania administracyjne.* Niektóre dzienniki nadały rozgłos niezasłużony ogłoszonemu w d. 17 grudnia, ukazowi, który w dosłownym przekładzie przytaczamy:

»1) Do czasu rewizyi obowiązujących obecnie przepisów o deportacyi, wszelkie decyzye jen.-gubernatorów, gubernatorów i naczelników miast, dotyczące wzbronienia pobytu, w powierzonych ich zarządowi miejscowościach, osobom, uznanym za szkodliwe dla porządku publicznego, z powodu ich występnego postępowania (»Zb. pr.« t. XIV, »Ust. o zapobieżeniu przestępstwom» § 1, uw. 2, dodatku 1, »Przepisy o środkach dla zapewnienia porząd. państw. i spokojn. publicznej« § 16, p. 4) — wprowadzać w wykonanie nie inaczej, jak za poprzedniem rozpatrzeniem i zatwierdzeniem zamierzonego środka w porządku, wskazanym w §§ 33—35 »Przepisów o środkach dla zapewnienia porz. państwowego i spokojności publicznej« (Ust. o zapobież. przestępstwom», tenże dodatek).

2) Wyjaśnić: a) że zażalenia na rozporządzenia jen.-gubernatorów, gubernatorów i naczelników miast, wydane na zasadzie § 16 »Przep. o środkach dla zapewn. porz. państw. i spok. publ.» winny być rozpatrywane jedynie w porządku, wskazanym w §. 9 1 i 2 przepisów wspomnianych i b) że przy rozpatrzeniu takowych zażaleń powinny być miane na uwadze dane, jakie służyły za powód do uznania osoby, dotkniętej karą deportacyi, za podejrzaną pod względem politycznym, lub też to niebezpieczeństwo, jakie tego rodzaju osoby, przez swoje występne postępowanie przedstawiają dla spokojności publicznej.

3) Włożyć na ministra spraw wewnętrznych obowiązek: a) dokonania bezzwłocznej rewizyi obowiązujących obecnie przepisów o deportacyi w drodze administracyjnej, i b) zbadania szczegółowego kwestyi, dotyczącej zmian i dopełnień, jakie okażą się potrzebne w przepisach, wymienionych w uwadze 4 do § 959 (»Zb. pr.« t. IX), i wnioski swoje w tym przedmiocie, po porozumieniu się z ministrem sprawiedliwości, przedstawić w porządku ustanowionym, do zatwierdzenia Najjaśniejszego Pana».

Po przetłomaczeniu tej frazeologii urzędowej na język zwyczajny, okazuje się, że nowy ukaz niewiele zmienia w stosunkach dzisiejszych. W Rosyi są dwa rodzaje zesłania, w pierwszym wypadku karę orzeka kolegium, złożone z naczelnika żandarmów i dwóch delegatów od ministeryów sprawiedliwości i spraw wewnętrznych. Kolegium to skazuje nieraz na kilka lat więzienia, lub na zesłanie do miejscowości oznaczonej, na przeciąg czasu do 5 lat. Taki sposób postępowania prawie zawsze stosowany bywa w sprawach politycznych. Ale oprócz tego jenerał-gubernatorowie, a respective gubernatorowie i t. zw. »gradonaczalnicy« mieli prawo wysyłać osoby, które uważali za szkodliwe, co w języku urzędowym nazywało się „wzbronieniem prawa przebywania« w pewnej miejscowości. Otóż te wyroki podlegać będą teraz również zatwierdzeniu kolegium. Dodać trzeba, że jenerał-gubernator warszawski otrzymał przed kilkoma laty specyalną władzę w takich sprawach, o czem w ukazie niema wzmianki.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

Poznań 9 stycznia.

Ks. Stablewski i katolicy niemieccy. Jubileusz p. Dobrowolskiego. W sprawie Banku ziemskiego.

Kiedy po osławionym, bodaj niesłusznie, Dinderze zasiadł na stolicy arcybiskupiej ks. Stablewski, radość była powszechną i wyrażano ją z zapałem niekłamanym. Wymowny obrońca praw naszych w parlamencie wydawał się wszystkim godnym następcą prymasów Polski. Podnoszone przez gromadkę niechętnych wątpliwości zbywano pogardliwem milczeniem. Nadzieje rosły, bo i z Berlina wiał wówczas zefir łagodny, i p. Kościelski łudził nas i siebie pięknemi perspektywami bliskiej przyszłości. Zresztą zawsze i wszędzie cieszymy się i roimy przyjemnie, kiedy rodacy nasi dochodzą do znaczenia i władzy, bo rozumujemy sobie, że przecie swój dla swoich musi być życzliwszy, aniżeli obcy, i możliwie najwięcej robić będzie. Tak być powinno według logiki prostaczków, ale mężowie stanu myślą inaczej. Każdy z nich, doszedłszy do stanowiska i władzy, usilnie stara się, żeby go nie posądzano o sprzyjanie swoim, pragnie, żeby zapomniano o jego polskiem pochodzeniu, a w tych staraniach i pragnieniach zapędza się zwykle tak daleko, że nieraz swoim krzywdę wyrządza, byle tylko bezstronność okazać, a nawet niekiedy staje się powolnem narzędziem obcej władzy i gorliwie popiera jej zamiary, dla narodu naszego szkodliwe.

Niemiec Dinder, z łaski rządu na stolicę arcybiskupią wsadzony, czuł się niepewnym, widząc dokoła usposobienie wrogie, nie chciał narazić się na gorsze i chociaż pragnął być posłusznym temu, który go wyniósł na godność wysoką, oglądał się i na Rzym i na otoczenie swoje i właściwie nic złego nam nie zrobił. W innem położeniu jest ks. arcybiskup Stablewski. Z Watykanu nie wyjdzie dla niego nagana, bo gdyby nawet przypuścić, że uwzględniają tam teraz chociaż cokolwiek interesy naszego społeczeństwa, to słusznie mogą wnioskować, że przecież on, długoletni obrońca praw kościoła i narodowości, on, którego nominacya takie gorące dziękczynienia wywołała — wie dobrze, co robi. A o opinię publiczną ks. arcybiskup nie potrzebuje się troszczyć, bo tak jest u nas zbita z tropu, obałamucona i oszołomiona, że można z nią robić, co się podoba. Ci, co stoją na wyżynach społecznych w znacznej mierze podzielają poglądy arcybiskupa, albo patrzą na niego z szacunkiem, wyłączającym wszelkie wątpliwości. Pisma t. zw. poważne z krytyką nie wystąpią, bo to rzecz drażliwa, zresztą jedno z nich jest leib-organem arcybiskupa. A że tam na dole szemrzą niechętni, to któżby zważał na hołotę mieszczańską, na warchołów i szowinistów.

Wierzymy jednak, że opinia publiczna może się u nas ocknąć i otrzeźwić, że budzić się już nawet zaczyna pod wpływem śmielszej od lat kilku krytyki. I ci nawet, co teraz jeszcze po manowcach błądzą, trafią wreszcie na drogę właściwą, bo fakty przemawiają coraz dobitniej, coraz głośniej.

Oto jeden z takich faktów, bardzo ważnych ze względu na jego następstwa.

Pisma niemieckie coraz częściej donoszą, że w różnych miejscowościach w Księstwie zaprowadzono kazania niemieckie lub powiększono ich liczbę. Nie wystarcza to jednak Niemcom i powtarzają wciąż skargi o nieuwzględnianiu potrzeb katolików niemieckich, odwołują się nawet do władzy kościelnej, która zwykle uprzejmie do tych żądań się przychyla.

Niedawno arcybiskup wydał rozporządzenie, rozszerzające używanie języka niemieckiego w kościele w Inowrocławiu. Wiadomość o tem podał miejscowy *Dziennik kujawski*, a nasze pisma poświęciły sprawie tylko krótkie wzmianki. Dopiero *Gazeta gnieźnieńska* wyjawiła, że toczyły się w tej sprawie długie narady i zaraz potem zamieściła artykuł p. t. »Zakusy germanizacyi za pomocą kościoła«. Z pism zajął się tą sprawą *Orędownik* i w kilku artykułach, napisanych z wielkiem umiarkowaniem, podkreśla właściwy jej charakter. Już poprzednio inowrocławski korespondent *Dziennika* zaznaczył, że w zaprowadzeniu modlitw niemieckich większą rolę grały względy polityczne, aniżeli rzeczywista potrzeba.

Zaznaczywszy, że wśród katolików niemieckich widoczne są zabiegi w celu rozszerzenia języka niemieckiego w kościołach i że jednocześnie rząd wywiera pewien nacisk w tym względzie, *Orędownik* tak pisze:

»Jeżeli te zabiegi Niemców katolików nie ustaną, jeżeli nie ustanie nacisk w tym kierunku, to trudno przewidzieć, na czem się ta agitacya skończy, jak daleko sięgnie». »Nie chcielibyśmy przy tak ważnej sprawie grzeszyć przesadą« zapewnia *Orędownik*, ale, zwróciwszy uwagę na dziwnie obojętne zachowanie się prasy, dodaje, że należałoby się nad tym faktem namyślić. »Jeżeli się te niemieckie kazania będą więcej szerzyły w naszych kościołach, to nasz *kościół polski*, jak go powszechnie nazywamy, przestanie być zwolna polskim i stanie się niemieckim. Oto też pewnie chodzi, żeby przy zachowaniu treści zwolna starodawne formy zmieniać, po części usuwać i lud polski przyzwyczajać, oswajać z nowemi formami, których dotąd w kościołach naszych nie widział i nie słyszał«. Niebezpieczeństwo istnieje, ale zdaniem pisma, które cytujemy, nie jest zbyt groźnem, bo lud polski, nawet tam, gdzie uchodzi za najsłabszy, na Górnym Śląsku, na Warmii i w Prusiech Zachodnich starł się już dzielnie z germanizacyą przez kościół.

O usposobieniu ludności naszej świadczy fakt, że w Inowrocławiu po odczytaniu z ambony rozporządzenia władzy duchownej, »zrobiło się w kościele poruszenie i znaczna część pobożnych wyszła«. Podaje to *Dziennik kujawski*, jeden z organów arcybiskupowi zupełnie oddanych.

Konieczność walki z klerykalizmem, który niemal wszechwładnie u nas panuje, zarysuwuje się coraz wyraźniej, tylko nie w imię zasad liberalnych, ale w imię przekonań politycznych i uczuć narodowych. Bo te przekonania i uczucia nieraz właśnie klerykalizm gwałci w imię religii, fałszywie pojmowanej.

W okresie polityki ugodowej, pod opieką duchowną arcybiskupa rodaka ponieśliśmy bodaj cięższe straty, aniżeli w czasie rządów Bismarka. Od dwóch lat dziesiątki tysięcy dzieci polskich nie słyszą języka ojczystego w szkole, tu i owdzie władze pousuwały nawet księży od nadzoru nad nauką religii. Przed kilkunastu laty władza duchowna sądziła, że dopiero w przedostatnim roku można uczyć w gimnazyach religii po niemiecku, teraz uczą się jej dzieci nasze już od seksty. Dawniej staraliśmy się uczyć dzieci prywatnie po polsku i założyliśmy instytucyę »Opieki szkolnej«, która teraz, jak powiada *Goniec*, »usnęła snem lojalnych«. Ważna to niezmiernie sprawa i bynajmniej nie tak trudna do zorganizowania, jak się wydaje, byleby znaleźli się ludzie, a chociażby jeden człowiek odpowiedni z inicyatywą, energią i poważaniem u ogółu. Ale nasi dotychczasowi przewodnicy sterali już swe siły, nowych zadań nie rozuminją należycie, do nowych warunków działania nie mogą się zastosować.

Jednego z najbardziej zasłużonych w przeszłości uczciliśmy przed kilkoma dniami. Rozmaicie można sądzić działalność p. Franciszka Dobrowolskiego, redaktora *Dziennika*, zwłaszcza w ostatnim działalności tej zakresie, ale nikt nie zaprzeczy, że w ciągu dwudziestopięcioletniej pracy na naszym gruncie położył wielkie zasługi, wykazał niezwykłą u nas energię, że zawsze gorliwie praw i interesów narodowych bronił, chociaż niezawsze właściwie je pojmował i niezawsze odpowiednie drogi wybierał. W przeszłości swej miał jubilat piękne chwile i, jak trafnie wyraził się niedawno *Przegląd poznański*, za tę przeszłość przedwszystkiem uczcić go należało. Jako dziennikarz p. Dobrowolski zasłużył się dobrze społeczeństwu i dziwną mi się wydała nieobecność na obchodzie jubileuszowym przedstawicieli pism tutejszych, z których tylko *Kuryer*, do niedawna walczący zaciekle z *Dziennikiem*, był reprezentowany. To uznanie ze strony *Kuryera*, prowadzącego politykę *par excellence* klerykalną i ugodową najlepiej charakteryzuje stanowisko *Dziennika* i jego redaktora-jubilata w ostatniej dobie naszej polityki.

Nie uwolniło go to jednak od śmiesznej i wstrętnej inkwizycyi gorliwców. Na zebraniu »Towarzystwa katolickiego rzemieślników polskich« jedni przemawiali za udziałem w jubileuszu, drudzy przeciw i zacięty spór toczyli, czy pan Dobrowolski chodzi do spowiedzi, czy nie, i kiedy był u spowiedzi.

Nie będę opisywał obchodu, ani streszczał licznych i długich przemówień, które dosyć niefortunnie rozpoczął p. Cegielski w imieniu komitetu, przypominając jubilatowi, że był członkiem Rządu narodowego, a następnie chwaląc go za to, że jego pismo »było zawsze ostoją i zaporą przeciw przewrotom społecznym«. Liczba tych mów w imieniu różnych instytucyi i towarzystw wygłaszanych, wykazuje różnostrzoną i chętną, a więc dla tego może właśnie nie zawsze płodną w skutki działalność niestrudzonego pracownika.

Dodam jeszcze, że na obchód nadesłano mnóstwo telegramów, między innymi od marszałka sejmu Badeniego, który życzył jubilatowi jak najdłuższej pracy »dla dobra *całego* narodu polskiego«.

Jak przewidywałem, subskrypcya na nowe akcye Banku ziemskiego nie mogła być w d. 31 grudnia zamkniętą, ponieważ do pełnej sumy brakowało około 300 podpisów. Zarząd zawiadomił o tem wszystkich, którzy wnieśli wpłaty i zwołuje na 18 b. m. walne zebranie, proponując w imieniu swoim i rady nadzorczej, żeby utrzymać emisyę w sumie 800 akcyi a tylko przedłużyć termin zapisów. Jest to najlepsza droga wyjścia, chociaż na zasadzie istniejących przepisów trzeba będzie nanowo załatwić niektóre uciążliwe formalności. Najliczniej zapisy wpływały dopiero w ostatniej chwili, można więc spodziewać się, że w nowym terminie wszystkie akcye będą rozebrane,

J. M.

Z GALICYI.

Lwów, 13 grudnia.

Powolny bieg spraw w sejmie. Dzisiejsze i pożądane stanowisko lewicy. Reforma gminna i decentralizacya samorządu. Stan szkolnictwa i oświaty. „Towarzystwo szkoły ludowej“.

Upłynęła niemal już połowa czasu, wyznaczonego na obrady sejmu, a dotychczas żadna ważna i pilna sprawa nie została załatwioną. Skarżą się corocznie posłowie, że kadencya sejmu trwa zbyt krótko, nie starają się jednak wynagrodzić braku czasu gorliwością w pracy. Z powodu istnienia dziwnej i szkodliwej z wielu względów różnicy kalendarza, stracono na święta ruskie kilka dni. Utworzono mnóstwo komisyi, a do każdej wybrano przynajmniej dwóch lub trzech zadużo, wskutek czego posiedzenia nie mogą odbywać się prawidłowo, tembardziej że posłowie wciąż biorą urlopy, których już na trzeciem posiedzeniu wydano 16. Dotychczas nie sprawdzono jeszcze wszystkich mandatów i dziwnym zbiegiem okoliczności odłożono na koniec najwięcej zakwestyonowane. Przepowiadają, że chociażby dla przyzwoitości jeden lub dwa wybory z okręgów, gdzie nadużycia były krzyczące, sejm unieważni, chociaż i to jest wątpliwem, bo dotąd nawet lewica, czyli t. zw. klub demokratyczny jednomyślnie głosuje za zatwierdzeniem mandatów mocno podejrzanych. Organ tej partyi, *Słowo polskie*, wymownie gromi konserwatystów za to, że odstręczyli od siebie »lud wiejski i małomiasteczkowy«, który

gdyby widział, że warstwy wyższe dla jego dobra pracują, »zbliżałby się zwolna do swych starszych braci, traciłby nieufność, niechęć i tylowieczny, a po części słuszny żal«. »Któż jest tedy warchołem — pyta dziennik p. Romanowicza, kto to dopuścił, że nieufność w masach wzrosła kto tak sprawy poprowadził, że ten lud stał się przystępny szkodliwym podszeptom ?... Ta masa ludności, która tylko czekała opieki, życzliwej ręki kierującej, spotykała drobne krzywdy, które jątrzą nieraz więcej, niż wielkie sprawy, bo są codzienne, widziała opór przeciw słusznym żądaniom, przekonywała się o niesprawiedliwości w niektórych sprawach i, rzecz naturalna, uwierzyła, że wszystko jest niesprawiedliwe«.

Przytoczyliśmy te dłuższe ustępy, bo charakteryzują one mimowolnie demokratów galicyjskich i ich poglądy polityczne. Są to, zdaje się, jedyni w świecie demokraci, którzy pragną, żeby lud słuchał »uczciwych rad starszych braci« a nie radził sam o sobie, żeby poddał się kierownictwu »życzliwej reki«, a nie myślał o swojej samodzielności, którzy wierzą, że dosyć jest usunąć »drobne krzywdy« żeby ta sielanka nastąpiła. W budzącej się świadomości ludu widzą tylko »złośliwe podszepty nieletnich lub wykolejonych agitatorów«. Wszystkie te zarzuty zresztą, które do konserwatystów niewłaściwie stosują, zwracają się przeciw nim samym. Bo gdyby rozumieli potrzeby ludu i stawali w ich obronie, nie »jako uczciwi doradcy« i »życzliwi kierownicy« masy, ale jako przedstawiciele jej uprawnionych żądań i interesów, gdyby zamiast wojowania frazesami z stronnictwem zachowawczem, przeciwstawili jego roszczeniom program prawdziwie demokratyczny, to z pewnością nie zaszkodziłaby im żadna agitacya, nie straciliby wpływu i znaczenia w sejmie i społeczeństwie. I jakże przedstawiciele tego ludu mogą wierzyć w szczerość i życzliwość rzekomych demokratów, widząc n. p. lewicę, z p. Romanowiczem na czele, głosującą za uznaniom prawomocności wyboru p. Skrzyńskiego w powiecie brzozowskim, gdzie nadużycia wywołały oburzenie wśród włościan Takie postępowanie, którego nawet względy praktyczne wytłómaczyć nie mogą, bo i bez głosów lewicy wybór byłby zatwierdzony, zrażać tylko musi posłów ludowych do stronnictwa demokratycznego. O wiele zręczniej i taktowniej postępują zachowawcy, którzy starają się jeżeli nie zjednać, to przynajmniej uciszyć posłów włościańskich. Gdyby lewica szczerze uznała prawowitość ruchu ludowego, wyrzekła się pretensyi do życzliwych rad i kierownictwa, a tymbardziej do przedstawiania interesów całego społeczeństwa, co jest, mówiąc po prostu, niedorzecznością polityczną, bo zaprzeczeniem racyi bytu stronnictw — znalazła by właściwy zakres działania, ograniczony ale bardzo pożyteczny. Do zadań jej należą: obrona interesów miast i ludności miejskiej, potrzeby przemysłu i handlu, reforma szkolnictwa i podniesienie oświaty, rozszerzenie praw politycznych i stworzenie samorządu, którego właściwie Galicya nie posiada, chociaż wszyscy dużo o autonomii rozprawiają.

Oto n. p. stoi na porządku dziennym sprawa reformy gminnej. Połączenia obszarów dworskich z gminami wiejskiemi pragnie większość sejmu. Ale jedni chcą utworzenia t. zw. gmin okręgowych, złożonych z kilku dzisiejszych gmin wiejskich i obszarów dworskich, z pewnymi przywilejami dla tych ostatnich. Drudzy domagają się przyłączenia do każdej gminy sąsiedniego obszaru dworskiego, na zasadzie równych praw i obowiązków, i zgadzają się tylko na połączenie gmin zbyt małych. Gminy w Galicyi są niewątpliwie za słabe, żeby mogły podołać obowiązkom i zadaniom, jakie spełniać powinny. Prawdziwy samorząd musi mieć za podstawę gminę, dostatecznie silną i dobrze zorganizowaną. Zdawałoby się więc, że projekt gmin okręgowych, popierany przez stronnictwo krakowskie, odpowiadałby istotnej potrzebie kraju, zwłaszcza gdyby się udało wykreślić z niego lub przynajmniej zredukować przywileje dla obszarów dworskich. Przeciwnicy tego projektu, a zwolennicy drugiego, wysuwają jednak argument bardzo poważny przeciw projektowi, twierdzą bowiem, że taka organizacya gminy byłaby w naszych stosunkach szkodliwą pod względem politycznym, gdyż znakomicie ułatwiałaby władzom rządowym wywieranie nacisku na wójtów, mieszanie się do spraw i wyboru urzędników gminnych. Posłowie ludowi i Rusini są z tego powodu przeciwni gminom okręgowym i mają zupełną słuszność z politycznego punktu widzenia. Ale najzaciętsza ich opozycya nic nie wskóra, jeżeli projekt gmin okręgowych ma w sejmie większość zapewnioną. Stronnictwu, ktore nazywa się demokratycznem, na którego czele stoi wybitny przedstawiciel autonomii krajowej, gorący jej obrońca i gruntowny znawca spraw administracyjnych, przypaśćby w tym sporze mogła wdzięczna rola pogodzenia potrzeb samorządu i interesów politycznych ludu. Chociażby bowiem przyjęcie przez sejm projektu gmin okręgowych było nieuniknionem, to jednak w toku rozpraw zdarzyć się musi sposobność do zmiany wielu jego szczegółów, a może nawet do usunięcia niektórych punktów, dających powód do obaw słusznych. Stronnictwo krakowskie odwołało się do rządu, żeby wystąpił z projektem reformy gminnej ; niewłaściwa to droga, jak niewłaściwem jest również żądanie, z przeciwnej strony czasem wyrażane, żeby rząd przejął na siebie część zadań gminy. Z pewnością zwolennicy gminy okręgowej mają gotowy zarys pożądanej przez nich reformy, członek stronnictwa krakowskiego p. Górski wydał niedawno pierwszy tom dzieła p. t. »Samorząd gminny«. Obowiązkiem było lewicy opracować projekt szczegółowy, związać go z reformą rad powiatowych i przedstawić sejmowi. Kto pierwszy przychodzi z wnioskami gotowymi, ma zawsze przewagę nad przeciwnikiem, lub głos rozstrzygający w sprawie spornej.

Decentralizacya samorządu jest niezbędnym warunkiem prawidłowości i skuteczności jego działania i odpowiada naszej tradycyi narodowej. Całe życie wewnętrzne Polski skupiało się w ziemstwie i sejmikach powiatowych. Nie mówiąc o szlacheckiej i ziemiańskiej wyłączności tych instytucyj, dzisiaj zresztą niemożliwej, miał ten stan rzeczy złe strony, których unikać trzeba, ale miał i dobre, które w zmienionej formie należałoby naśladować. Dzisiaj w Galicyi rady powiatowe są instytucyami martwemi, często szkodliwemi i innemi nie będą, dopóki nie zostaną zreorganizowane całkowicie, dopóki nie oprą się na mocnej podstawie, jaką może być tylko gmina, normalna jednostka samorządu. Tymczasem, zamiast dążenia do reform w tym kierunku, widzimy objawy wzrastającej centralizacyi. Na ostatnim n. p. zjeździe lekarskim wniesiono projekt »ukrajowienia« szpitali prowincyonalnych, t. j. oddania ich pod zarząd Wydziału krajowego. Z pewnością w obecnym stanie rzeczy szpitale zyskałyby na tem, ale gdyby wszystkie sprawy załatwiano w ten sposób, Wydział krajowy, który już teraz jest wielkim mechanizmem biurokratycznym, rozrósłby się do rozmiarów potwornych. Byłby to samorząd z władzą centralną, ale bez organów niższych, niedorzeczność niemożliwa w teoryi, ale możliwa w praktyce galicyjskiej.

Stan szkolnictwa ludowego i oświaty w Galicyi dużo pozostawia do życzenia, ale nie jest tak złym, jak głoszą rozmyślni pesymiści, sądząc, że w ten sposób zachęcą społeczeństwo do energiczniejszego działania i pobudzą do ofiarności. W r. 1894/95 było w szkołach ludowych 6896 klas, w których wykładało 6263 nauczycieli i nauczycielek wykwalifikowanych, oraz 1024 niewykwalifikowanych. Liczba

szkół zorganizowanych, ale nie otwartych dla braku nauczycieli, ciągle wzrasta i wynosiła w roku ostatnim 453. — W ciągu trzech lat przybywało corocznie około 200 klas, z seminaryów zaś wyszło w r. 1895 około 400 nauczycieli. Zdaje mi się więc, że wniosek powiększenia liczby seminaryów nauczycielskich, których ma Galicya 12, nie jest uzasadniony, należałoby raczej dążyć do powiększenia w nich liczby uczniów. Podwyższenie płac nauczycielskich powstrzyma dezercyę z tego tak licho dotychczas wynagradzanego zawodu i przyciągnie wielu tych, którzy, posiadając kwalifikacye, szukali na innej drodze lepszego zarobku.

Dzieci, uczęszczających do szkół, było w Galicyi 666.000. *Nowa Reforma* obliczyła, że dzieci w wieku szkolnym powinno być 1,410.000, brakuje więc szkół dla 744.000. Nie wiem na jakiej zasadzie opiera się to obliczenie, ale to wiem, że ostatnia cyfra 744.000 jest wielce przesadzoną. Dla czego w Galicyi dzieci, które powinny chodzić do szkoły, stanowią więcej niż 20% ogółu ludności; kiedy w tych krajach, gdzie wszyscy są piśmienni, liczba dzieci, uczęszczających do szkół lub pobierających naukę w domu, waha się między 13% a 14% liczby mieszkańców? Sądzę, że autor artykułu, z którego przytaczam powyższe cyfry, policzył wszystkie dzieci od najniższego do najwyższego kresu wieku szkolnego, zapominając o tem, że niektóre idą do szkoły nie w siódmym n. p. ale dopiero w dziewiątym roku, inne znowu kończą naukę w trzynastym, kiedy ich koledzy siedzą w szkole do piętnastego roku życia i t. d. Z tej cyfry 744.000 należałoby więc odtrącić wszystkie dzieci, które nie uczą się jeszcze, ale będą się uczyć i te, które skończyły już naukę, chociaż jeszcze nie wyszły z wieku szkolnego. Przyjmując za normę stosunek, istniejący w krajach, które w oświacie innym przodują, powiedzieć możemy, że w Galicyi brakuje szkół dla 200—250.000 dzieci. Wolno więc istotnie żywić nadzieję, że nie zadługo, przy dobrej woli społeczeństwa i jego przedstawicieli, nie będzie w kraju dzieci, pozbawionych nauki, bo i z powyższej liczby pewien odsetek dziś uczy się w domu.

Tę pożądaną chwilę powinnoby choć trochę przyśpieszyć »towarzystwo szkoły ludowej«, które niedawno w Krakowie urządziło zjazd delegatów swoich kół. Działalność towarzystwa rozwija się pomyślnie, mogłaby jednak posuwać się żwawiej. Zjazd odrzucił n. p. bardzo rozsądny wniosek, żeby przynajmniej część kapitału, wynoszącego już, jeśli się nie mylę, około 70.000 zł. lokować w budynkach szkolnych, jak to robi Macierz szkolna czeska. Z pewnością nie zaszkodziłoby to wcale towarzystwu, przeciwnie, ożywiając jego działalność, zainteresowałoby szersze koła. Na pokrycie wydatków bieżących powinny wystarczać składki, ofiary i dochody nadzwyczajne, fundusze zaś, składane teraz na procent, należałoby obrócić na wydatki nakładowe, zostawiając niewielki kapitał na potrzeby nieprzewidziane. Jeżeli towarzystwo zamierza wydawać tylko procenty, to zanim zbierze odpowiedni kapitał, osłabnie z pewnością energia jego członków i ofiarność społeczeństwa. W Galicyi wschodniej mnóstwo dzieci polskich nie pobiera nauki w języku ojczystym, bo szkoły są tam tylko dla większości ruskiej. Osady polskie, rozproszone i mające ludność nieliczną, same bez pomocy z zewnątrz, szkół własnych utrzymywać nie mogą. Skargi na polszczenie Rusinów słyszymy często i sami je nieraz powtarzamy, zapominając zupełnie, że równolegle odbywa się proces ruszczenia Polaków, którzy we wschodniej części kraju nie mają ani szkół, ani kościołów w dostatecznej ilości.

Bo trzeba zaznaczyć, że chociaż Rusini nie przewyższają liczebnie ludności polskiej, mają więcej szkół ludowych. Mianowicie było w r. 1894/5 w Galicyi szkół czynnych: z językiem polskim 1734, ruskim 1784, polskim i ruskim — 87, nieczynnych zaś pierwszych 171, drugich 286, trzecich — 5.

J. Raźmiak.

Proces krakowski. W sądzie karnym w Krakowie zaczęła się 13 b. m. rozprawa o zamiar wykradzenia akt i planów wojskowych z kancelaryi fortecznej. Główny winowajca, ogniomistrz (fajerwerker) artyleryi Hradil skazany już został przez sąd wojenny na 5 lat ciężkich robót. Obecnie stanęli przed sądem cywilni uczestnicy sprawy: Wojciech Kozerski, szewc z Proszowic, poddany rosyjski, Samuel Strumpfner, reprezentant towarzystwa ubezpieczeń »Equitable, żona jego Szarlota i szesnastoletnia córka, Alma.

Według aktu oskarżenia przebieg sprawy tak się przedstawia.

W maju z. r. zbiegł z Krakowa sierżant artyleryi, Emil Schmeidler, izraelita, zabrawszy z kasy pułku około 500 guldenów. Władze rosyjskie uwięziły Schmeidlera, który w więzieniu w Miechowie rozmawiał kilkakrotnie z pułkownikiem żandarmów, po czem wysłano go do Warszawy. Przyjęty, jak później opowiadał, bardzo uprzejmie przez generała Broka, wrócił wkrótce Schmeidler do Michałowic (na granicy austryackiej), jako agent policyi tajnej z pensyą 35 rs. i zamieszkał u kapitana straży progranicznej Tierechowskiego, z którym na przemianę naradzał się tajemnie i hulał. O pobycie Schmeidlera w Michałowicach dostarczył później władzom austryackim szczegółów dezerter rosyjski Panajew.

Za pomocą krewnych swoich Strumpfnerów, mieszkających w Krakowie, zawiązał Schmeidler stosunki z dawnym kolegą Hradilem, którego sprowadził do Michałowic i zapoznał z Tierechowskim. Skuszony obietnicą wysokiego wynagrodzenia Hradil zgodził się wykraść z kancelaryi plany mobilizacyjne i inne ważne dokumenty, o których miał dokładne wiadomości Tierechowskij. Obiecano mu 60 rs. pensyi miesięcznie i jednorazowe wynagrodzenie, dodając dla zachęty, że zbiegły dawniej ogniomistrz Longin dostał 3000 złr. i posadę na kolei. Widocznie jednak Hradil się wahał, bo sprawa się przewlekała, pomimo natarczywych zabiegów Tierechowskiego i Schmeidlera. W układach pośredniczyła rodzina Strumpfnerów, ludzi, dodamy nawiasem, zamożnych, bo p. Samuel zarabiał około 4500 złr. rocznie. Wreszcie Hradil zgodził się i oznaczył termin, 17 listopada. Tierechowskij wysłał po skrzynie z papierami szewca Kozerskiego, który twierdzi, że nie wiedział, po co jedzie. Kozerski najął po stronie austryackiej dwóch włościan z furą, przybył po północy do Krakowa, a nie znalazłszy w kancelaryi Hradila, który naznaczył godzinę 3-cią rano, zaczął go szukać przy pomocy stróża po mieście. W kawiarni agent policyjny Noga zauważył podejrzanych ludzi i aresztował Kozerskiego, przy którym znaleziono list, kompromitujący Hradila, a z zeznań jego i świadków wyciągnięto dowody, potępiające Strumpfnerów.

Z KRESÓW.

Bytom 8 stycznia.

Zawziętość niemiecka. Wydalenie ucznia z gimnazyum za propagandę polską. Pierwszy „Sokół“. Niemczyzna w kościele.

Przyjęcie p. Radwańskiego do centrum nie uspokoiło malkontentów niemieckich. Pisma niemiecko-katolickie wracają przy każdej sposobności do tej sprawy i krytykują nawet dosyć ostro rozsądny postępek zarządu partyi. Takich, którzyby naśladowali wybryk szowinistyczny ks. Ohla, pu-

blicznie wyrzekającego się wspólności ze stronnictwem centrum, za to, że przyjęło p. Radwańskiego znajdzie się nie wielu, ale wysyłających protesty sporo naliczyć można. Przecie nawet katolicy niemieccy z Królowej Huty i Raciborza, których sprawy obwodu pszczyńsko-rybnickiego nie wiele obchodzić powinny, zawzięcie protestują. Teraz wynaleźli sobie Niemcy i drugiego kozła ofiarnego w osobie p. majora Szmuli, prześladując go za mowę w Złotnikach, w której wskazał ludowi naszemu jako przykład odrodzenia narodowe Czech. Ślepa zawziętość dochodzi do tego stopnia, że podejrzywają niektórzy p. Szmulę o chęć wznowienia związku historycznego z Czechami. Zaiste, złość i głupota ludzka granic nie mają.

Ludzie rozsądni, patrząc w przyszłość i sądząc o niej z tego, co się teraz dzieje, widzą, że coraz trudniejsza będzie sprawa z Niemcami katolikami na Śląsku. A nawet w łonie stronnictwa centrowego rośnie ciągle niechęć do Polaków, którą nasi śląscy magnaci, księża-odstępcy od sprawy narodowej i ich sojusznicy podsycają. Widzi i lud nasz śląski i przekonywa się, bo go też Niemcy gorliwie przekonywają, że Polak a katolik to nie jedno. Poczuł się już ten lud polskim i zostać polskim pragnie, intrygi i groźby nie zwrócą go z tej drogi. Opieka magnatów śląskich kosztuje drogo lud roboczy, teraz wiemy, co o ich przychylności dla nas trzymać można.

O krzyczącem nadużyciu donoszą do *Katolika* z Katowic. Dyrektor gimnazyum wezwał do siebie wyższego prymanera (ucznia najwyższej klasy) K... i oświadczył mu, że otrzymał denuncyacyę, oskarżającą go o straszne zbrodnie, mianowicie: 1) że bierze udział w agitacyi wielkopolskiej, 2) mówi poprawnie po polsku; 3) zadaje się z Polakami (Grosspolen); 4) jeździ często do Krakowa, gdzie odwiedza osobistości wybitne, od których otrzymuje pieniądze i wskazówki dla siebie, oraz dla agitacyi wielko-polskiej; 5) wreszcie, że stoi na czele związku polskiego, który dwa razy w tygodniu odbywa posiedzenia w pewnej restauracyi. Na prośbę K... dyrektor Müller powiedział, że denuncyacyę napisał żandarm Dzieniszewski, od siebie zaś dodał: musisz pan zuchwale postępować, kiedy naraziłeś się na podejrzenie policyi, chociażbyś siedział tu 100 lat, egzaminu nie złożysz. K... któremu tylko kilka miesięcy zostawało do ukończenia gimnazyum, zaprzeczył denuncyacyi i udał się do żandarma, zarzucając mu, że podał denuncyacyę fałszywą, za co może mieć proces o oszczerstwo. Żandarm wyznał, od razu że komisarz graniczny w Bytomiu Maedler kazał mu śledzić K... ale zapewnił, że w denuncyacyi pisał tylko o mówieniu dobrą polszczyzną i przestawaniu z »osobami wielkopolskiemi«. W kilka dni później dyrektor wydalił K... z gimnazyum, jak napisano w świadectwie »za udział w agitacyi wielko polskiej« a żandarm zaskarżył młodzieńca do sądu o obrazę, mianowicie za grożenie skargą do prokuratora. Przed sądem bronił oskarżonego nowy poseł p. Radwański i tak mówił: »Z zimną krwią i bez miłosierdzia wydalono z gimnazyum skutkiem niegodziwych i bezpodstawnych podejrzeń młodzieńca zdolnego, pilnego, tuż przed egzaminem, i zniszczono całą jego przyszłość. W świadectwie tak go opisano, że do żadnego gimnazyum w Prusiech go nie przyjmą. Cóż on takiego uczynił? Nic, co by uprawniało do wydalenia go z gimnazyum, nic, coby uprawniało do wytoczenia mu procesu. Ponieważ K... jest z urodzenia Polakiem, a rodzina jego tylko językiem polskim włada, przeto świętym jego obowiązkiem i prawem było doskonalenie się w tym języku. Jakżeby mógł inaczej porozumieć się ze swoimi ustnie i piśmiennie? Inni dyrektorowie cieszą się, gdy uczniowie jak najwięcej języków się uczą. Polityka nie należy do szkoły«.

Takich elementarnych praw trzeba jeszcze bronić u nas, w taki sposób dopominać się uznania dla nich, tłómaczyć się ze swej polskości, jakby z jakiego występku. I dzieje się to w państwie, które przywłaszcza sobie tytuł »Rechtsstaatu«.

Prokurator żądał skazania K.. na 30 marek kary lub 10 dni więzienia, ale sąd uwolnił oskarżonego.

Niesłusznie wydalony młodzieniec powinien odwołać się do władzy wyższej, do kolegium szkolnego, do ministra, a chociażby nawet do cesarza. Nie na wiele zapewne to się przyda, ale pokaże naocznie, jaka jest sprawiedliwość niemiecka. A obrońca K.. p. Radwański bezwątpienia przedstawi tę sprawę w parlamencie.

Według ostatniego spisu Bytom z Czarnym lasem liczy 42,230 mieszkańców, w tem tylko 4.192 ewangelików i 2.112 żydów, resztę stanowią katolicy, a między nimi większość mają Polacy. Oprócz *Katolika* z dwoma dodatkami *Dzwonkiem* i *Rodziną* wychodzą u nas jeszcze inne pisma polskie, które z każdym rokiem zyskują nowych abonentów. Dziś już napewno powiedzieć można, ze *Gazeta katolicka* krzywdy *Katolikowi* nie zrobi, chociaż ją niektórzy księża będą gorliwie popierać. Mówią teraz, że zamiast w Królowej Hucie, wychodzić będzie w Katowicach.

Do niewielkiej liczby towarzystw, mających cele narodowe, przybyło nowe — »Sokół bytomski«, który liczy już 56 członków. Pierwszy to »Sokół« na Górnym Śląsku, ale za jego przykładem i inne zapewne wkrótce rozwiną skrzydła. Może te drużyny sokole, hartując ciało, dodadzą duchowi naszemu siły i śmiałości, bo, dalibóg, zanadto jesteśmy skromni i pokorni. Nawet *Katolik*, który przy wszystkich swoich przymiotach i zasługach odwagą nie grzeszy, teraz w pięknie napisanym artykule o »niemczeniu« tak nas poucza:

»W obronie swego rodu i języka ojczystego polskiego stójmy wszyscy społem, twardo. Brońmy się z miłością chrześcijańską, ze spokojem, prawnie i prawie, ale mocno. Brońmy się zawsze i wszędzie słowem, pismem, działaniem. Polacy są zbyt potulni, ulegają, ustępują, cicho znoszą prześladowanie i upośledzenie. To nie zawsze dobrze, bo wtenczas przeciwnicy nic sobie z nas nie robią. Żądajmy swych praw, brońmy swych praw, nie pozwólmy się pchać w kąt, pomiatać sobą. Naśladujmy żydów w tym względzie. Niech tylko kto nadepnie żyda, to żydzi na całym świecie krzyczą w niebogłosy. Żydzi wszędzie na pierwsze miejsce się wysuwają, choć nie mają prawa do tego. My czyńmy podobnie tam, gdzie mamy swoje prawo«.

Towarzystw polskich mamy już sporo, ale jeszcze ich za mało. Patrzmy na Niemców i naśladujmy ich. Gdzie się gromadka Niemców zbierze, już zaraz towarzystwa powstają. Czasem zakładają je tam nawet, gdzie, jakby się zdawało żadnej potrzeby niema.

W Miechowicach, wsławionych duszpasterstwem ś. p. ks. Norberta Bączka, naszego ukochanego poety, powstało niedawno niemieckie towarzystwo młodzieży katolickiej, chociaż cała prawie parafia polska i chociaż polskie towarzystwo młodzieży katolickiej od kilku lat istnieje. Sprawka to proboszcza miechowickiego, który namawia rodziców polskich, żeby dzieci do towarzystwa niemieckiego posyłali. Nie poprzestając na tem, ksiądz - odstępca pierwszy raz w święta kazał śpiewać po niemiecku podczas jutrzni, a potem wygłosił kazanie po niemiecku, chociaż Niemców w kościele nie było prawie wcale. Kiedy parafianie oburzeni kaszleć zaczęli i chrząkać w czasie tego kazania, ksiądz ich upomniał, żeby Niemcom nie przeszkadzali. Takich księży coraz więcej mamy i od nich dziś już bronić się musimy, bo niebezpieczeństwo z tej strony, grożące naszemu ludowi polskiemu i katolickiemu, wymaga wielkiej czujności.

*

Ci, co się naszymi obrońcami i opiekunami głoszą i ufność pozyskują, zadają nam potem ciosy najdotkliwsze. Nie brak na Śląsku księży, prawdziwych patryotów i opiekunów ludu, ale mniej ich teraz, niż przed kilku jeszcze laty było, a nic w tem dziwnego, bo zły przykład idzie z góry.

Górnik.

— *Zatarg w sejmie śląskim.* Na Śląsku austryackim jest, według obliczeń urzędowych 178 114 Polaków, 130.839 Czechów i 280.530 Niemców wraz z Żydami. Pomimo jednak przewagi ludności polsko-czeskiej, Niemcy, dzięki niesprawiedliwej ustawie wyborczej, mają w sejmie 25 posłów na ogólną liczbę 31. Z tej przewagi sztucznej korzystają Niemcy bezwzględnie, zapominając, że stanowią mniejszość ludności. Niedawno przy wyborze komisyi sejmowej większość niemiecka nie wybrała ani jednego Polaka lub Czecha, chociaż chodziło o ważną dla wszystkich sprawę ułożenia statutu dla krajowego zakładu kredytu ziemskiego. Oburzeni postępowaniem Niemców, posłowie polscy i czescy, w liczbie sześciu, wystąpili z sejmu. Sprawa narodowa na Śląsku zaczyna się więc zaostrzać i sprawić może nie tylko Niemcom, ale i rządowi nie mało kłopotu. Zaczynając od hr. Taaffego wszyscy prezesowie ministrów, ostatnio hr. Badeni, zapewniali, że usuną wszelkie przeszkody, utrudniające zgodne pożycie ludów. Ustawy wyborcze do sejmów krajowych są najgłówniejszą z tych przeszkód i reforma ich jest równie ważną i pilną, jak reforma ustawy wyborczej do Rady państwa.

P. S. Dowiadujemy się w ostatniej chwili, że Niemcy po pewnem wahaniu wybrali do komisyi pp. Stratila (Czecha) i Michejdę (Polaka), wskutek czego posłowie słowiańscy wrócili do sejmu.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

Z za Wołgi, grudzień 1895.

Emigracya do Rosyi. Ogólny charakter wychodztwa. Życie na obczyźnie. Wrogie wpływy. Warunki wynarodawiania się. Stosunek Rosyan do Polaków.

Faktem jest, że społeczeństwo nasze, a nawet część jego, skazana na przymusowe współżycie z Rosyą, nie ma najmniejszego pojęcia o stosunkach rosyjskich, o rosyjskiej gospodarce wewnętrznej, o tamtejszem życiu umysłowem i społecznem, ale też tem samem, i to właśnie jest rzeczą smutną, nie zna wcale życia zamieszkałych w Rosyi Polaków, których niepodobna całkiem oddzielić od tła miejscowego. Przyczyn tej niewiadomości jest wiele, a jedną z najważniejszych niechęć, jaką nasze społeczeństwo czuje względem »Polaków z Rosyi«. W pojęciu ogółu są oni dezerterami z pola walki, stratą siły, karyerowiczami, którzy dla zysku opuszczają stanowiska obywatelskie. W powracających do kraju upatrują ślady wpływów »moskiewskich«, w języku, manierach, przekonaniach, — widzą w nich »Australczyków«.

Jednak mimo tak wrogiego usposobienia dla tego wychodztwa, rok rocznie kilkaset rodzin emigruje do Rosyi, i stokilkadziesiąt tysięcy Polaków, które tam już zamieszkują, nietylko żyją, ale i myślą i czują po polsku, a od czasu do czasu spotykamy się z drobnymi dowodami, że to niezupełnie stracone placówki. Spotykamy też w gazetach wiadomości o nich, ale są one zbyt szczupłe i niepouczające. Mówią nam, że w mieście np. X. urządzono koncert, lub bal polski, lub też, jak *Kraj*, informują, o rangach i odznaczeniach. Ale nie dowiadujemy się, jak oni myślą, co robią, nie znamy ich duszy. W części wiadomości te są utrudnione ze względów cenzuralnych, w części przez obawę, aby nie zwracać zbytecznej uwagi i nie dać powodu do nowych szykan.

Nie mam i ja zamiaru kusić się o scharakteryzowanie Polaków wszędzie, gdziekolwiek ci w Rosyi się znajdują; byłoby to rzeczą wprost niemożliwą ze względu na różnorodność żywiołów. Są między nimi ludzie z różnem wykształceniem: jedni mieszkają w wielkich miastach, gdzie są w większej liczbie swoich, inni po małych miasteczkach lub wsiach, gdzie, wskutek odosobnienia, są wystawieni na większe ciśnienie atmosfery miejscowej; są zamieszkali dawno lub tam urodzeni, są świeżo przybyli; są pochodzący z Litwy, z Królestwa, z Wołynia lub Ukrainy. Nie może więc być mowy o ustanowieniu jakiegoś typu, ponieważ takowego poszukiwać można tylko w trwałej gromadzie, klasie lub społeczeństwie, które, istniejąc we wspólnych, określonych warunkach, zdobywają wspólne znamiona. Pisanie moje ma też jedynie na celu dostarczenie trochę wiadomości z życia i stosunków w mieście Z., traktując to jedynie, jako skromny przyczynek. Z., miasto gubernialne, leży na dalekim wschodzie; mieszkańców liczy 40 tysięcy, a w tem Polaków około tysiąca, — cyfra pozornie niewielka; wzrośnie ona jednak bardzo, jeżeli zauważymy, że należą oni prawie wszyscy do inteligencyi (a do tej zaliczam ludzi, którzy otrzymali jakie takie wykształcenie szkolne, czytają gazety, książki i t. d.), której Z. posiada jakie 5000; stanowią oni zatem 20% inteligencyi miejscowej. Wobec braku wszelkich stowarzyszeń, głównem ogniwem, łączącem kolonię, jest kościół. Kiedy po przyjeździe do Z. w pierwszą zaraz niedzielę poszedłem go obejrzeć, dziwne we mnie wywołał uczucie. Zbudowany na jednej z więcej oddalonych ulic, otoczony ogródkiem, budową i położeniem wywarł na mnie wrażenie naszego wiejskiego kościoła.

„Gdyby jeszcze tam na boku,
„Krzyż się chylił na rozstaju,
„A dąb siwy u potoku,
„Tobym myślał, żem już w kraju"...

Prostota i skromne urządzenie wewnątrz, kapłan przy ołtarzu, w którym wisi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, chłopięce głosy, śpiewające na chórze... podtrzymywały dalej złudzenie. Lecz czuję — czegoś, czegoś mi braknie. Wreszcie zrozumiałem... To brakło mi naszych sukman i w barwne wstęgi poubieranych czepków, brakło opalonych twarzy wieśniaczych. Natomiast kościołek wypełniała masa różnych uniformów wojskowych i urzędniczych, pełno dam, w skupieniu pochylonych nad książkami do nabożeństwa. Świadomość, czego mi zabrakło w tem otoczeniu, napełniła mię smutnemi myślami i w całej grozie stanęła mi przed oczyma ta wyjątkowa emigracya inteligencyi. To część społeczeństwa skazana na wymarcie, to gałęź, którą burza niszcząca oderwała od pnia rodzinnego i odrzuciła daleko; czas jakiś wegetuje jeszcze, drga zielonymi listkami, gałązki wyciąga ku matce, lecz powoli listki żółkną, gałązki więdną i cała gałęź obumiera.

W smutku obserwowałem tę garstkę rozbitków. Tu, myślałem, w domu bożym, są oni jedynie w swojem wyłącznie otoczeniu; zamodleni, słysząc głos księdza, każącego po polsku, mogą na chwilę zapomnieć się i dać myślom unieść daleko.... do swoich.

Katolicy stanowią gminę, która wybiera dwóch syndyków; ci ściągają składki na utrzymanie kościoła i księdza, stanowią zarząd kościelny i co rok zdają sprawę ze swych czynności przed walnem zgromadzeniem członków gminy. Zgromadzenia te odbywają się w kościele; obrady toczą się w języku polskim. Proboszczem jest ks. R, zesłaniec z 63 r.; siwy, jak gołąb, staruszek, zachował całą żywość umysłu i serca. Dzięki niemu i staraniom kilku ener-

gieczniejszych parafian, kościołek, choć bardzo skromny, jest czysto i porządnie utrzymany, a upiększenie jego jest przedmiotem zabiegów tutejszych pań. Obecnie, za specyalnie na ten cel zbierane pieniądze, został zamówiony w Warszawie nowy obraz do ołtarza, a przedmiotem marzeń dalekiej przyszłości są organy i dzwony. Podtrzymują też tu zwyczaj, że na Wielkanoc parafianie urządzają wspólnie u księdza święcone, aby mogli się tam zbierać i przez to zaznajamiać się wzajemnie i podtrzymywać łączność.

Po za kościołem towarzystwo polskie rozpada się na wiele kółek, przeważnie jednak schodzą się w wyłącznie polskich zebraniach, o ile możności unikając mieszanych. Starają się również, aby dzieci jak najbardziej chronić od wpływów miejscowych. Zresztą starsze dzieci same się do tego poczuwają i w szkołach trzymają się pomiędzy sobą; a jest ich tu spora gromadka, bo np. w gimnazyum męskiem polacy stanowią 10⁰/₀ ogólnej liczby uczniów. Religię wykłada im ksiądz, języka zaś polskiego i historyi uczą się potrosze w domu; jest też kilka nauczycielek Polek, zagnanych losem, lub sprowadzonych do dzieci przez zamożniejszych Polaków. Wogóle jednak Polacy tutejsi, a szczególnie Litwini, źle mówią po polsku, mieszając wiele rusycyzmów, albo nawet używając całych zwrotów rosyjskich, — i mało na to zwraca się uwagi. Tracą na tem dzieci, a rzecz pogarsza się jeszcze przez to, że wobec braku polskiej służby dzieci od nianiek i służących uczą się mówić wprzód po rosyjsku, a później dopiero od rodziców po polsku.

Ruch umysłowy wogóle jest słaby. Jeżeli zauważę, jak małe poprzednio brałem kryteryum dla tych, kogo zaliczyłem do inteligencyi, zrozumialszym stanie się zarzut, jaki zrobię tutejszej kolonii, t. j. niski poziom umysłowości; bo choć przyjedzie ktoś z wyższem wykształceniem, przeważnie tak się dzieje, że w tutejszej atmosferze przetrawia czas jakiś swoje zapasy umysłowe, a później cofa się. Stąd też ogół tutejszy niezbyt ciekaw jest kwestyi, które wychodzą poza obręb życia codziennego. Polityką niewiele się zajmuja; choć tęsknią za krajem, choć zcicha protestują i skarżą się na smutny byt polityczny swego narodu, w głębi duszy wolą dla siebie *status quo*, a może... P. Bóg da itd. Interesują ich pytania, czy Szuwałow lepszy jest od Hurki, ale dokładnie nie rozumieją, co właściwie uważają za złe, a czego pragnęliby lepszego. Dlatego też i wyraźnych żądań nie maja, i nie obchodzą ich nowe prądy i wstrząśnienia społeczne, swoich nie znają, bo są odcięci, miejscowe ich nie interesują. Czytują i prenumerują gazety polskie; *Wędrowiec, Biesiada literacka, Tygodnik ilustrowany* mają licznych czytelników; *Przegląd tygodniowy* i *Prawda* niewielu, *Kraju* dochodzi dwa egzemplarze.

Przed kilku laty powstała ruchoma biblioteczka w ten sposób, że członkowie, opłacając po 5 rubli rocznie, sprowadzaia za ogólną sumę książki z Warszawy, które wzajemnie pomiedzy sobą wymieniają; po przeczytaniu przez wszystkich książki się rozlosowuje. Biblioteczka ta funkcjonuje bardzo dobrze i coraz się rozwijając, duże przynosi korzyści.

Obecnie poruszona została myśl założenia stałej biblioteki, nie wiem, o ile to się powiedzie, zależeć to będzie też i od usposobienia władzy miejscowej. W innem mieście opowiadano mi, że tam dwa razy skonfiskowano bibliotekę; założona po raz trzeci istnieje dotychczas szczęśliwie.

Z krajem stosunki przeważnie utrzymują; kto może, jeździ od czasu do czasu, a stamtąd przywozi z sobą zapasy wiadomości, świeżych myśli, ciepła i... tęsknoty. Tego roku, dzięki znacznie zniżonej taryfie, ogromna ilość osób pojechała odwiedzić rodzinne strony.

W ten sposób broni się więc inteligentniejsza część tutejszej kolonii. Nie mogę też pominąć milczeniem choć nielicznej, ale na większe niebezpieczeństwo narażonej sfery rzemieślników Polaków, którzy coraz to liczniej tu napływają. Zbierają się oni często w domu ślusarza, p. S; ten, zesłany do Rosyi w 48 r., człowiek prosty i niewykształcony, zachował w całej sile przywiązanie do kraju, synów wychował po polsku i ożenił z polkami. U niego poznałem zamieszkałych w Z. rzemieślników polaków: są między nimi i mniej sympatyczni, ale przeważnie poczciwe i serdeczne natury, których walka o byt lub bałamutne nadzieje pchnęły do wyjazdu; tęsknota i żal ich trawią, a największą ich pociechą jest nadzieja powrotu. 75⁰/₀ tutejszej polskiej kolonii stanowią Litwini (głównie z gub. kowieńskiej), reszta pochodzi z Królestwa i innych ziem naszych.

Wprawdzie wytworzyło się tu maleńkie kółko litwomanów, którzy chcieli uczyć się języka litewskiego i oddzielić od towarzystwa polskiego. Sztucznie stworzone, istniało to kółko niedługo. Wogóle jednak Polacy i Litwini żyją z sobą w najlepszej przyjaźni i wspólnie rodakom z pomocą śpieszą: każdy, kto mówi po polsku i jest uczciwym człowiekiem, serce i pomoc u swoich znajduje. To ostatnie jest tem łatwiejsze, że Polacy zajmują tu stosunkowo wysokie stanowiska. Najwięcej służy na kolei, jako inżynierowie i urzędnicy, dalej liczebnie idą wojskowi (w 91 r. oficerów Polaków, którzy służyli w pułkach konsystujących w ziemiach polskich, masowo przeniesiono na wschód) i sądownicy; pełno jest i w innych dykasteryach. Apteki wszystkie w polskich rękach. W powiecie jest kilku obywateli ziemskich, którzy zjawiają się do miasta w czapkach z czerwonymi lampasami*). Urzędnikom naszym powodzi się dobrze, niema bowiem dla nich tutaj wielkich ograniczeń.

Najgorzej dzieje się wojskowym: Polaków do awansów dopuszczają tylko niewielki określony procent; stosuje się to jednak tylko do Polaków-katolików. Niedawno miał miejsce charakterystyczny fakt: Polakowi-kalwinowi, którego zrobiono już kapitanem roty, odjęto awans za to, że dziecko ochrzcił w religii katolickiej! Nawet oficerowie Rosyanie byli tem oburzeni i jeden z nich puścił z tego powodu *bon mot*, że jeżeli teraz kto z oficerów sprowadzi sobie z Polski konia, to go też zdegradują.

Język polski wszędzie daje się słyszeć: na ulicach, w ogrodach, teatrach, na balach. Tak pełno jest tutaj naszych, a jednak zagłada narodowościowa nieubłaganie postępuje naprzód, wciąż nowe zabierając ofiary. Dłużej bronią się jeszcze ci, którzy trzymają się razem, — to są lepsi, których smutna konieczność zmusiła do opuszczenia rodzinnej ziemi. Lecz prócz nich jest cała falanga rozmaitych karyerowiczów, ludzi o marnych instynktach, bez skrupułów, bez przekonań i zasad, Polaków tylko z nazwiska, którzy stronią od towarzystwa uczciwych rodaków, gdzie czuliby się skrępowani. Szukają najgorszego gatunku towarzystw rosyjskich i prędko się wynaradawiają. Zresztą szkoda ztąd żadna, a strata tylko liczebna.

Smutnem jest to, że wszystkich wogóle czeka zagłada. Prędzej, czy później, w pierwszem, czy drugiem pokoleniu, nazwiska ojców Polaków stają się nazwiskami synów Rosyan. Z wielu przyczyn, które się na to składają, najważniejszą jest zawieranie małżeństw mieszanych. A ludziom słabej woli trudno jest się ustrzedz, bo młodzież nasza u kobiet rosyjskich posiada opinię ludzi dobrze wychowanych i delikatnych, a stąd cieszy się powodzeniem i wzięciem, przytem mamy reputacyę dobrych mężów... Bodaj czy nie lepiej

*) Są to mundurowe czapki szlachty rosyjskiej, w Rosyi bowiem nawet szlachta jest umundurowana, o czem nie każdemu pewnie wiadomo.

byłoby, gdyby pod tymi względami gorzej o nas sądzono. Bronią wprawdzie lepsi i silniejsi innych od tych małżeństw, jak mogą, a jednak wciąż przybywa nam takich »dożywotnich polaków«. Doprawdy, kiedy się rozglądam między tutejszymi mieszkańcami, okazuje się, że nie ma prawie takiej rodziny rosyjskiej, któraby polskiej krwi w sobie nie miała.

Z innych powodów ruszczenia się wyliczyć można: przyzwyczajenie do miejsca, wciągnięcie się w życie i stosunki miejscowe, rozluźnienie węzłów, łączących z krajem, przez długi pobyt w Rosyi. Urodzeni zaś tutaj, nie znając zwykle wcale ojczystego kraju, tym mniej mają z nim wspólnego. Zresztą, asymilacya wogóle nietrudną ma zdobycz, boć wszakże wyjeżdżają przeważnie ludzie słabsi, którzy ulękli się twardszej walki życiowej. I słusznie też opinia naszego społeczeństwa piętnuje ich jako dezerterów, bo prawie zawsze przepowiedzieć można, że taki młody prawnik czy lekarz, który rzekomo na lat kilka wyjeżdża, aby, uciuławszy trochę grosza, powrócić, zwykle nie powraca już nigdy, nigdy.

Słówko jeszcze o stosunku Rosyan do tutejszych Polaków. Można oddać sprawiedliwość, że polacy posiadają tutaj opinię ludzi prawych, obowiązkowych i zdolnych. Dla tego też Polakom dają posady i zajęcia, a w interesach okazują im wielkie zaufanie. Inaczej rzecz się ma w stosunkach towarzyskich. Wspomniałem już powyżej, że polaków uważają za ludzi eleganckich i dobrze wychowanych; ale też, ponieważ Polacy poważniej traktują życie, są więcej pedantyczni i drobiazgowi, a z natury rzeczy nie wypowiadają swych uczuć i przekonań, stąd też Rosyanie uważają nas za nieszczerych, zimnych, wyrachowanych; *szeroka* rosyjska natura nie godzi się z charakterem Polaka, i dla tego w głębi duszy żywią dla nas niechęć. Doskonale maluje to wyraz *„poliaczíszka“*, jakim nas w chwilach szczerości, czy rozdrażnienia nazywają. *W. R.*

PRZEGLĄD PRASY POLSKIEJ.

═ Lwowski *Przegląd* z powodu śmierci i pogrzebu Stepniaka pisze, że:

„Nie ma w Londynie żadnej ukonstytuowanej grupy polskich anarchistów i rewolucyonistów, a tylko od czasu do czasu zjawia się jaka podejrzana osobistość niby to Polaka tej kategoryi. Stepniak, o ile wiadomo, ubolewał nad ospałością i lenistwem polskiej propagandy w tym kierunku. Osobiście miał być pomimo odstraszającej fizycznej brzydoty, pociągającym w bliższych stosunkach. Był to wykolejony entuzyasta. Pogrzeb jego zgromadził jakich 200 osób — co jest tutaj nader rzadkiem zjawiskiem — należących do kół rewolucyjnych kosmopolitycznych. Polaka, o ile mi wiadomo, na tym pogrzebie i ciałopaleniu w Woding nie było żadnego. Kładę na to nacisk, gdyż prasa tutejsza wymienia deputacyę polską, której wszelako nie było i być nie mogło“.

Anarchisty polskiego prawdopodobnie w Londynie niema, ale istnieje grupa socyalistyczna, od lat kilku wydająca czasopismo miesięczne *Przedświt* i ma własną drukarnię, z której wyszło sporo broszur, a nawet książek. Grupa ta prowadzi daleko energiczniejszą propagandę, aniżeli emigracya rosyjska. Można cieszyć się z tego lub smucić — to zależy od punktu widzenia, można wreszcie patrzeć na ten fakt spokojnie i bezstronnie, jako na objaw naturalny w naszych stosunkach, ale nie trzeba umyślnie zakrywać oczu i kłamać świadomie, bo to się nie zda na nic. Organy tego stronnictwa, do którego *Przegląd* należy, starają się wmówić w czytelników swoich, że Polacy w ruchu socyalistycznym i rewolucyjnym nie biorą wcale udziału. Niedawno *Przegląd polski* nazwał »zmyśleniem niepoczciwem« podaną we wspomnieniach jakiegoś Anglika wiadomość o aresztowaniu Polaków-nihilistów i zaręczył, że Polacy z ruchem rewolucyjnym w Rosyi nic wspólnego nie mieli. Jest to fałsz, bo w ruchu tym Polacy grali bardzo wybitną rolę. Możnaby tu wymienić dużo nazwisk polskich, ale wystarczy jedno: Michał Hryniewiecki, zabójca Aleksandra II był rodowitym Polakiem i katolikiem, a nawet, jak świadczą jego koledzy, gorącym patryotą polskim.

Jeżeli ruch socyalistyczny wydaje się komu dla narodu naszego niebezpiecznym, to nie należy niebezpieczeństwa ukrywać, jeżeli zaś nie ma wielkiego znaczenia, to tymbardziej nie trzeba kłamać, zwłaszcza, że nikt zaprzeczeniom nie uwierzy.

═ *Przegląd poznański* w fejletonie noworocznym zdaje sprawę z dotychczasowej działalności swojej i jej rezultatów i tak określa swój program i stanowisko wobec pism, przywłaszczających sobie monopol kierowania opinią publiczną:

„Czyż jeszcze nie pojmujecie, że waszą politykę przekleństw i bojkotów uwieńczyło kapitalne fiasko. Czyż nie rozumiecie, że w społeczeństwie poznańskiem dokonywa się przewrót na całej linii, którego nie powstrzyma żaden teroryzm? Wy macie za sobą zbutwiałą tradycyę, my służymy naturalnej ewolucyi społecznej, podyktowanej siłą wypadków ekonomicznych. Wy hołdujecie abdykacyi narodowej i budujecie jakieś trzy lojalizmy i trzy patryotyzmy, pragniecie nawet tak zdusić polskość w uściskach katolicyzmu, by łachman tylko z niej został — my nie abdykujemy z praw narodowych, na bramach przeszłości nie godło śmierci, lecz znak zmartwychwstania kładziemy i uznając krzyż obok orła, krzyża bez orła nie uznamy nigdy“.

Z powodu coraz wyraźniejszego występowania na gruncie poznańskim dążeń ugodowych klerykalizmu, niebezpiecznych dla sprawy narodowej, *Przeglad* twierdzi, że jest to paląca kwestva najbliższej przyszłości i wkrótce może wrzeć będzie walka w całym zaborze pruskim.

„Bunt przeciw gwałceniu przekonań politycznych w imię religii jest zasadniczym postulatem programu naszego i w nowym okresie życia przeciwnicy nasi znajdą nas zawsze na posterunku. Jeżeli zaś dziś wyprowadzam tę kwestyę na widok publiczny i prezentuję ją u bram noworocznych towarzyszom broni, to słowa moje płyną z przekonania, że my nieraz zapóźno śpieszymy na pole bitwy i na gruncie nieprzygotowanym bój rozpoczynamy“.

Czytelnicy nasi z korespondencyi z Poznania poniekąd przekonać się mogą, że nawoływanie do czujności nie jest w danej sprawie ani zbytecznem ani przedwczesnem.

═ W czeskiem piśmie *Velehrad*, organie t. zw. cyrylometodystów, propagujących panslawizm i prawosławie, zamieścił niedawno »wybitny pisarz polski« artykuł p. t. »Łacinizm i Słowiańszczyzna», w którym stara się dowieść, że łacinizm był jedyną przyczyną upadku Polski. Tym rzekomo »wybitnym pisarzem« jest, jak wykazuje *Nowa Reforma*, p. Ludwik Żychliński, którego dziennik krakowski tak charakteryzuje:

„Znany jest u nas p. Ludwik Żychliński z wielce zaszarganej opinii, jaką przywiózł ze sobą z Syberyi i z tego, że oskarżony o zaburzenie spokoju publicznego przez pisanie korespondencyj do pism zagranicznych skazany był na więzienie przez sąd przysięgłych w Krakowie. Po odbyciu kary więzienia w Wiśniczu udał się p. Ludwik Żychliński do Pragi, gdzie wobec Czechów uchodzi za „prawdziwego Polaka“.

Nie mamy zwyczaju wytaczać spraw osobistych przed forum opinii publicznej. Nie czyniliśmy tego także z p. Ludwikiem Żychlińskim pomimo że znaliśmy dobrze jego sprawki — raz dlatego, że nie chcieliśmy pod sąd opinii publicznej stawiać człowieka, o którego postępowaniu wydał wyrok sąd przysięgłych w Krakowie, powtóre dlatego, że przypuszczaliśmy, iż p. L. Żychliński upamięta się przecież i przypomni sobie, że z rodu jest Polakiem. Dzisiaj, wobec niepoprawnego postępowania p. L. Żychlińskiego, poczuwamy się do obowiązku odkrycia zasłony z jego „polskiego“ oblicza.

Niechże więc dowiedzą się raz Czesi, kim jest p. Ludwik Żychliński, a potrzeba także, aby i polscy czytelnicy wiedzieli, skąd biorą się głosy „prawdziwego Polaka“ w prasie czeskiej i rosyjskiej“.

PRZEGLĄD PRASY OBCEJ.

— Niejaki p. P...cz zamieścił w *Grazdaninie* dwa artykuły, w których dowodzi, że pomimo zmian zewnętrznych, w ciągu 16 lat (rządy Apuchtina) system rusyfikacyjny nie okazał żadnego wpływu na młodzież polską, na jej nastrój polityczny.

„Czy mogą działacze zarządu naukowego w kraju nadwiślańskim powiedzieć sumiennie, że udało się im zmienić chociaż cokolwiek nastrój moralny uczącej się młodzieży polskiej i zaszczepić w niej chociaż odrobinę poważania i życzliwości dla naszej wspólnej ojczyzny“?

Odpowiadając na to pytanie, p. P...cz zaznacza, że:

„młodzież miejscowa, t. j. polska i niemiecko-żydowska pozostaje dotychczas wolną od ducha patriotyzmu rosyjskiego, jak była wolną od niego przed szesnastu laty.“

Na ten artykuł odpowiada... w *Hałyczaninie* jakiś »knyszojad« (tak nazywają Moskale rodowici swoich sojuszników galicyjskich). Z bezczelnością, która tylko w Galicyi może być tolerowaną. autor listu »z kraju nadwiślańskiego« wychwala z zapałem system Apuchtina, »wielkiego pracownika sprawy rosyjskiej« i dowodzi, że system ten »niewątpliwie prowadzi do sławy i pomyślności naszej wielkiej ojczyzny«. Zdaniem jego, rewizya ministeryalna, w r. 1891 dokonana, wykazała, że szkoły w Królestwie znajdują się w stanie, nie pozostawiającym nic do życzenia.

„A trzeba zauważyć, że uczniowie szkół średnich w warszawskim okręgu naukowym, pomimo istnienia, uznanych przez p. P...cza, szkodliwych wpływów na nich, nigdy nie tylko nie *zhańbili się* udziałem w jakichkolwiek demonstracyach, w rodzaju uczczenia pamięci szewca Kilińskiego, setnej rocznicy powstania Kościuszki i t. d. ale np. z powodu uroczystości tulońskich w r. 1890 wykazali, zaświadczone we właściwym czasie przez prasę francuską, szczególne i bardzo znaczące dowody uczuć i sympatyi czysto-rosyjskich.“

W odpowiedzi na te zuchwałe kłamstwa dosyć zaznaczyć, że w r. 1893 z gimnazyów warszawskich, nie wyłączając VI-go, które korespondent chwali szczególnie, — wydalono kilku uczniów za obchód rocznicy 3-go maja. W dniu tym uczniowie przyszli do klas w mundurach galowych, a po południu rozstawieni w Alei Ujazdowskiej nauczyciele upędzali się za nimi i nie wpuszczali do ogrodu botanicznego, gdzie znajdują się ruiny pomnika, na pamiątkę konstytucyi majowej postawionego. Studenci, którzy w r. 1894 czcili pamięć Kilińskiego, byli przecie w znacznej większości wychowańcami gimnazyów Królestwa i niemal wszyscy w czasie owej rewizyi uniwersalnej siedzieli na ławach szkół średnich.

Widocznie stanowisko »wielkiego pracownika sprawy rosyjskiej« jest niego zachwiane, i protegowani przez niego galicyjscy »obrusitiele« zaniepokoili się wielce, bo nowy kurator zechce może sprowadzić rodowitych Moskali. Nie tyle więc dziwimy się rozpaczliwej bezczelności zatrwożonego o karyerę swoją »knyszojada«, ile zuchwalstwu redakcyi *Hałyczanina*, drukującej tego rodzaju panegiryki. P. Markow liczy na pobłażliwość niezwykłą Polaków galicyjskich, ale w ostatnich czasach zaczyna na nią bodaj za wiele rachować, upojony marzeniami o »wspólnej ojczyźnie«.

Z OBCEGO ŚWIATA.

— *Szlachta twerska.* Gazety rosyjskie rozpisują się szeroko o skardze, podanej przez szlachtę guberni twerskiej na gubernatora Achlestyszewa, a pośrednio na b. ministra spraw wewnętrznych Durnowo. Gubernia twerska uważana jest od dawna za główne ognisko liberalizmu rosyjskiego, który ma tam przedstawicieli nietylko w ziemstwie, ale i wśród szlachty. Jak wiadomo, wkrótce po wstąpieniu na tron Mikołaja II wyszła z Tweru petycya z prośbą o dopuszczenie przedstawicieli ludności do udziału w rządzie. Jakkolwiek petycyę zredagowano w wyrażeniach ogólnikowych, sfery urzędowe dopatrzyły w niej żądania konstytucyi i młody car zgromił publicznie liberałów, nazwawszy ich dążenia »bezmyślnemi«. Potulny liberalizm rosyjski przyjął kornie naganę carską, ale pocieszał się zapewne nadzieją, dowcipnie wymyśloną, że dążenia, które dla Aleksandra III były »występnemi« Mikołaj II nazwał już »bezmyślnemi«, co pozwala się spodziewać, że w krótce, może za jego następcy, będą tylko »przedwczesnemi«.

Zmiany osobiste w wyższych sferach administracyi, zwłaszcza nominacye p. p. Goremykina i Niekludowa, znanych z przekonań liberalnych, dodały otuchy szlachcie twerskiej, którą gubernator za »wolnodumstwo« zawzięcie prześladował, nie zatwierdzając np. 60 znanych i szanowanych obywateli na kuratorów szkół wiejskich. Na zebraniu gubernialnem szlachty wybrano na marszałka p. Olenina, autora skarconej petycyi i podano skargę na gubernatora, którego nadużycia przebrały miarę nawet rosyjskiej cierpliwości. Jednocześnie zaznaczono, że b. minister Durnowo umyślnie przedstawił fałszywie carowi zamiary i dążenia szlachty i ziemstwa twerskiego. Sprawa ta wywołała oburzenie w prasie reakcyjnej, której organy nazywają skargę »objawem rewolucyjnym,« zasługuje wszakże na uwagę fakt, że *Nowoje Wremia* znane z niezwykle czułej wrażliwości na zmiany prądów w sferach rządowych, bierze w opiekę »buntowników» twerskich.

Dla czytelników, nie znających stosunków i dziejów Rosyi, ciekawą może będzie wiadomość, że Twer był do końca, XV wieku stolicę wielkiego Księstwa, które rywalizowało z Moskwą o władzę naczelną. Książęta twerscy potomkowie starszej linii, w ciągu stukilkudziesięciu lat walczyli ze swymi współzawodnikami, którzy umieli pozyskiwać potężną opiekę chanów Złotej Hordy, dopóki sami sił nie nabrali. Dom twerski połączony był licznymi związkami małżeńskimi z domem Gedymina (matka Jagiełły, była księżniczką twerską) i szukał zawsze pomocy na Litwie, a następnie w Polsce, gdzie ostatni książęta znaleźli przytułek. Antagonizm pomiędzy Twerem a Moskwą trwał długo jeszcze po krwawej walce i upadku samodzielności księstwa. Gubernia twerska wyróżnia się poniekąd od innych tem, że chociaż ma klimat surowy i glebę lichą, w znacznej liczbie utrzymała się tam w majątkach ziemskich stara szlachta rodowa. Satyryk rosyjski Sałtykow (Szczedrin), malarz Wereszczagin i wielu innych, znakomitych ludzi w Rosyi, pochodzą ze szlachty twerskiej.

— *Nowe ograniczenie praw konstytucyjnych Finlandyi.* Generał-gubernator finlandzki wydał rozporządzenie, zakazujące poruszania na zgromadzeniach publicznych spraw, mających charakter polityczny. Cała prasa szwedzka i fińska ostro zakaz ten krytykuje, twierdząc, że rozporządzenie gubernatora znosi wolność słowa, zapewnioną w konstytucyi Powodem do wydania zakazu miały być wykłady popularne, urządzane w uniwersytecie helsingforskim, a przeznaczone głównie dla włościan, których sprowadzano do stolicy na koszt państwa. Profesor Schyberson miał odczyty o historyi konstytucyi finlandzkiej, a p. Willebrand o konstytucyi z prawnego punktu widzenia. Pierwszy oprócz tego wygłosił na otwarcie wystawy w Sibbo mowę, w której opowiadał o sejmie w Borgo, w r. 1809 i o zasadach unii z Rosyą. Wszystkie te odczyty i mowy miały na celu wykazanie słuchaczom, że Finlandya jest właściwie państwem niezależnem, złączonem z Rosyą unią osobistą i że prawa konstytucyjne,

które w ostatnich czasach rząd chciał ograniczyć, opierają się na przyrzeczeniu uroczystem Aleksandra I.

Gorliwców rosyjskich oburzył również na siebie księgarz Edlund, który wydał portrety Aleksandra I, Mikołaja I, Aleksandra II i III tudzież Mikołaja II z ogólnym napisem »Monarchowie W. Ks. Finlandzkiego«, nie wspominając wcale o tytule cesarskim.

Rozporządzenie generał-gubernatora ma być przedmiotem interpelacyi w senacie, bo sejm zbiera się tylko co kilka lat.

Przy tej sposobności zaznaczymy dziwną w dziennikarstwie i społeczeństwie polskiem obojętność dla spraw Finlandyi, o których dowiadujemy się zawsze dopiero z gazet niemieckich lub rosyjskich, chociaż i wtedy pomijamy je zwykle milczeniem. A przecie stosunki finlandzkie ważne są niezmiernie dla nas chociażby z tych dwóch względów, że wykazują, ile zrobić można wytrwałą pracą i roztropnem ale śmiałem postępowaniem dla podniesienia ludu i kraju, oraz że przekonywują o niemożliwości zadowolenia rządu rosyjskiego nawet najlojalniejszem zachowaniem się wobec niego. Finlandya nie powstawała nigdy przeciw Rosyi, a jednak dziś rząd stara się ją zrusyfikować i ograniczyć jej prawa polityczne, a społeczeństwo rosyjskie niemal jednozgodnie zachęca go do takich zamachów.

KRONIKA BIEŻĄCA.

— W Królestwie polskiem przystąpiono już do wyboru wójtów gmin, którzy wejdą w skład deputacyi włościańskiej, mającej wyjechać do Moskwy na dzień koronacyi cara. („Warsz. Dn.“)

— Pod Lublinem, w miejscowości zwanej „Rury“ d. 13 października r. z. chłopi urządzili w karczmie wesele. Kilku żołnierzy rozpoczęło sprzeczkę z bawiącymi się ludźmi. Od słów przyszło do bójki, pułkownik Broterus przybył na pomoc swoim i żołnierze pokaleczyli 19 ludzi. Sprawa się zakończyła wytoczeniem chłopom procesu ... o opór władzy.

— Petersburska akademia nauk ofiarowała Leonowi XIII tytuł swego członka honorowego. Papież wbrew oczekiwaniom tytuł ten przyjął.

— Dyecezya warmińska liczy obecnie według najnowszej rubryceli 267 księży. W r. 1870 było ich w tej dyecezyi 306.

— *Żiźń i iskusstwo* donosi o następujących sprzedażach dóbr w gub. wołyńskiej i kijowskiej, gdzie nabywcami ziemi mogą być tylko Rosyanie. Ks. Józef Lubomirski sprzedał generałowi Bogdanowiczowi dobra Dermańskie i Pohoryleckie, obszaru 5000 morgów, położone w powiecie dubieńskim, zaś hr. Władysław Chodkiewicz — generałowi Mezencewowi część dóbr Czernobylskich z miasteczkiem Czernobylem, w powiecie radomyskim gub. kijowskiej, obszaru 51.000 morgów.

— Zarząd fabryki żyrardowskiej w Król. polskiem utrzymuje na użytek swych oficyalistów dwie czytelnie: niemiecką i polską. Pierwsza jest nader zasobna, posiada bowiem około 10.000 tomów dzieł najrozmaitszej treści, druga zaś jest uboga, gdyż liczba tomów bodaj że nie przewyższa w niej tysiąca. Tymczasem Polacy stanowią w Żyrardowie ogromną większość.

— W Tomsku na Syberyi ma być niebawem otwarty nowy komitet cenzury, którego tam dotychczas nie było.

— Ludność gub. płockiej w dn. 13 stycznia 1894 r. wynosiła 684.607 mieszkańców stałych. W ciągu roku urodziło się 18720 dzieci, zmarło zaś osób obojga płci 12.176. Naturalny przyrost ludności wynosi 6.544 mieszkańców.

— W pismach codziennych tuła się wiadomość o licznych, jakoby, aresztowaniach pośród studentów w Petersburgu, a to z powodu wykrycia rozgałęzionej organizacyi potajemnej.

— Liczba księży w dyecezyi chełmińskiej wynosi w r. b. 379, czyli o 7 więcej niż w roku ubiegłym. Liczba wiernych w tej dyecezyi wzrosła w ciągu ostatniego roku o 10.877 i dosięga obecnie cyfry 678.749 dusz.

— *Gazeta Grudziądzka* porusza sprawę założenia w Grudziądzu pisma niemieckiego, które pouczałoby uczciwych Niemców o właściwym stanie rzeczy i przeciwdziałało stronnej agitacyi Tow. H. K. T.

— Według obliczeń centralnego komitetu żydowskiego Towarzystwa emigracyjnego, w ciągu 1895 r. przybyło z Rosyi do Ameryki 18.040 żydów, z których 72% pozostało w New-Yorku. Z ogólnej ich liczby 59% pochodziło z Litwy i Rusi 31% z Królestwa polskiego, wreszcie 10% z gub. wewnętrznych.

— Ogólna ilość żydów, mieszkających w państwie austryackiem (Cislitawii) wynosi 1.142.625. Z liczby tej na Galicyę przypada 770.468, a na Bukowinę 82.170.

— Liczba osób, pociąganych w państwie niemieckiem do odpowiedzialności za obrazę majestatu z roku na rok wzrasta. Spraw takich było w r. 1889 483, w 1893 — 591, w 1894 — 622 a w 1895 znacznie więcej.

— Student Hryniewiecki, o którego śmierci w X pawilonie cytadeli warszawskiej pisaliśmy poprzednio, zadał sobie śmierć głodową. Ojciec zmarłego wytoczył władzom sprawę o brak dozoru.

— Według sprawozdania zarządu „Macierzy szkolnej“ dla ks. Cieszyńskiego fundusz na utrzymanie gimnazyum polskiego w Cieszynie wynosi obecnie około 100.030 zł., zaś fundusz stypendyjny dla biednych uczniów 7.186 zł. 75 ct.

— Spór graniczny o Morskie Oko postanowiono rozstrzygnąć sądem polubownym.

— Oberpolicmajstrem m. Warszawy mianowany został pułkownik Gresser.

— Komisya podatkowa w Ciechanowie (gub. Płocka) uznała podaną przez właściciela domu Kujawskiego deklaracyę za nieważną, ponieważ napisał ją po polsku. Skazany na 15 rs. kary Kujawski płacić nie chciał wskutek czego inspektor podatkowy zaskarżył go do sądu. Sędzia pokoju uwolnił Kujawskiego od odpowiedzialności, zjazd natomiast zniósł ten wyrok i karę zatwierdził. Senat z kolei skasował decyzyę zjazdu i nakazał sprawę rozpatrzeć powtórnie. W postanowieniu swojem senat nie uprawnia bynajmniej używania języka polskiego, ale twierdzi, że jeśli komisya nie umiała przeczytać nazwisk ulic i mieszkańców napisanych literami łacińskiemi, to powinna była zwrócić deklaracyę Kujawskiemu do poprawienia. Zjazd sędziów pokoju w Płocku zniósł karę, wymierzoną na Kujawskiego.

— W *Połądze* (Kurlandya) władza szkolna postanowiła zamienić salę aktową w progimnazyum na cerkiew. Właściciel Połągi, hr. Tyszkiewicz wystąpił z protestem przeciw przeróbkom gmachu, ofiarowanego na szkołę przez jego ojca, oświadczając, że w razie nieuwzględnienia protestu gmach napowrót odbierze.

— Przewodniczący w II wydziale karnym sądu okręgowego warszawskiego przy odbieraniu przysięgi adwokackiej od p. Jędrzejewskiego nie pozwolił mu odczytać samemu roty przysięgi, ale zażądał, żeby ksiądz czytał, a p. Jędrzejewski głośno za nim powtarzał. Ksiądz stanowczo odmówił, twierdząc że taka forma składania przysięgi nie zgadza się z przepisami religii katolickiej. Wskutek tego posiedzenie odroczono i odłożono składanie przysięgi do rozstrzygnięcia wątpliwości w drodze urzędowej.

Na gimnazyum polskie w Paranie.

Pieniądze składamy w Banku zaliczkowym na książeczkę Nr. 1575.

P. Kmita z Genewy 12 zł. (25 franków), J. P. 1 zł., Kwiatkowski 1 zł., S. Dąbrowski 1 zł. 50 ct., inżynier B. Opolski 1 zł. — Razem 16 zł. 50 ct.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Dr. Wiktor Ungar.**